

PRZEGLĄD PRUSZKOWSKI

Wydawnictwo Pruszkowskiego
Towarzystwa Kulturalno-Naukowego
nr 1/2013

**Copyright © by Pruszkowskie Towarzystwo
Kulturalno-Naukowe, 2013**

Grafika:

Jerzy Blancard

Redaktor:

Irena Horban

Zespół redakcyjny:

Hanna Horban

Grzegorz Zegadło

Skład i łamanie:

Beata Włodarczyk

Organizacja produkcji:

Rachocki i s-ka

Wydawca: Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno-Naukowe
ul. Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej 5

05-800 Pruszków

tel. 22 759 94 64

e-mail: eireneszym@gmail.com

Książnica Pruszkowska

im. H. Sienkiewicza

ul. Kraszewskiego 13

05-800 Pruszków

tel. 22 758 86 09

tel./fax 22 730 10 80

e-mail: ksiaznica_pruszkowska@biblioteka.pruszkow.pl

Spis treści

Edmund Bieder

A gdy wróćcie... .. 5

Pruszków – w hołdzie Zwyciężonym 7

Irena Szymańska-Horban

Powstanie Styczniowe – minęło 150 lat 8

Marian Marek Drozdowski

Refleksje o Powstaniu Styczniowym 11

Grzegorz Przybysz

Powstanie Styczniowe na Zachodnim Mazowszu 25

Tadeusz Jaros

Pamięć narodowa o Powstaniu Styczniowym w Pruszkowie 33

Jan Cierliński

Ogólna charakterystyka i ocena XXVII

„Rajdu Szlakiem Naszej Historii” 38

Elżbieta Twaróg

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Jezusa w Eucharystii 42

Sławomir Łubiński

Przyszło nas tu czterech 46

Marian Osmolak

Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział

w Powstaniu Warszawskim 57

Szymon Kucharski

O dwóch Pruszkowiakach, którzy wysadzili tczewskie mosty ... 67

Józef Kiljański

Butenko od przodu i tyłu 91

Irena Szymańska-Horban	
Moje wspomnienia z lat międzywojennych, wojny i nie tylko...	98
Irena Szymańska-Horban	
77 lat minęło od śmierci Marszałka	108
Szymon Kucharski	
Wizyta młodzieży izraelskiej w „Zanie”	110
Monika Pawelczyńska	
Harcerskie relacje z 2013 roku	114
Irena Szymańska-Horban	
Słowo od prezesa PTK-N	117
Irena Szymańska-Horban	
Pomnik przy ulicy Helenowskiej	121

LIRYKA, LIRYKA, TKLIWA DYNAMIKA

Artur Oppman	
Tvoja Ojczyzna	123
Jerzy Żuławski	
Do moich synów	125
Bolesław Czerwieński	
Dwóch rannych	126
Artur Bogusławski	
11 listopada w Warszawie	127
Kazimiera Iłakowiczówna	
Sen o Marszałku	128
Stanisław Jasiński	
Do Towarzyszy Broni	129
Kazimierz Przerwa-Tetmajer	
Fragment z „Wiersza dla mego syna”	131

Edmund Bieder

A gdy wróćcie...

A gdy z bitewnych wróćcie pól
W złocistych słońc legendzie
Ziemia wam polska swój smęt i ból
Jak matka gędzić będzie...
A gdy wróćcie...

A gdy w godowy wróćcie czas,
Uszedłszy wrażej kuli –
Ziemia ojczysta do piersi was
Znękanej swej przytuli...
A gdy wróćcie...

Słodki aromat ojczystych ziół
Swą falą was owionie...
Abyś już, polski żołnierzu, czuł,
Żeś na Ojczyzny łonie...
A gdy wróćcie...

Łan się wam żytni pokłoni w pas
I każdy kwiat na łące...
I tęczę blasków powita was
Wiosenne, młode słońce...
A gdy wróćcie...

Różany kwieciem jabłonek sad
Swą wonią was owieje...
I wskrzesi w duszach baśń młodych lat
Sny młode i... nadzieje...
A gdy wróćcie...

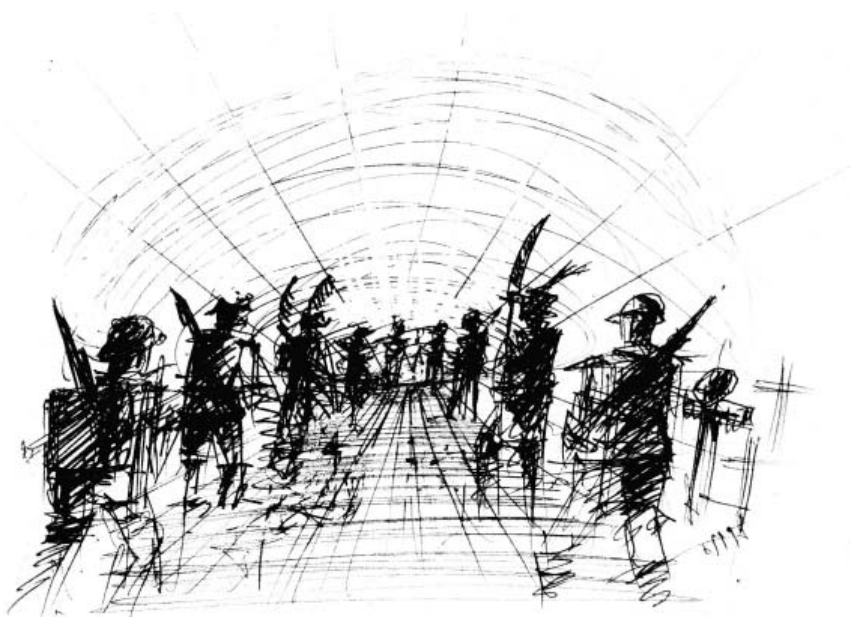
Zagrzmie „Te Deum” Wawelski dzwon
Na waszą cześć uderzy
Za bujny życia i znoju plon
Wykwitły z krwi żołnierzy
A gdy wróćcie...

A gdy z bitewnych wróćcie pól
W złocistych słońc legendzie...
Ta ziemia może szczęście, nie ból
Swym synom gędzić będzie...

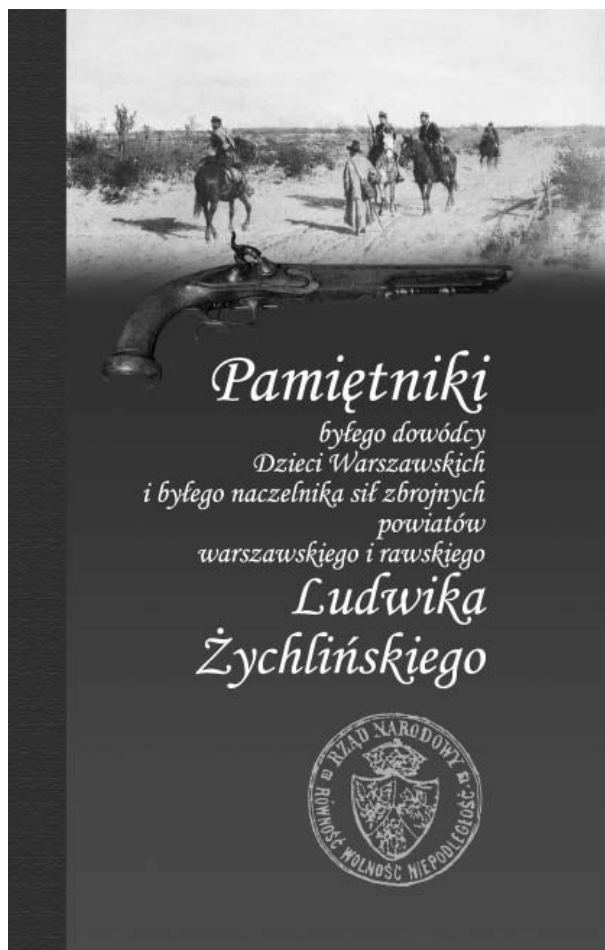
.....

Jeśli wróćcie...

(wiersz napisany w maju w 1916 r. dla Stanisława Jasińskiego, który walczył
w 5 p.p. Legionów Piłsudskiego)



Pruszków – w hołdzie Zwycięzonym



W 150 rocznicę Powstania Styczniowego Książnica Pruszkowska wydała *Pamiętniki* byłego dowódcy *Dzieci Warszawskich* i byłego naczelnika sił zbrojnych powiatów warszawskiego i rawskiego. Jest to pierwsze powojenne wydanie oparte na pierwodruku z roku 1885. Zachęcamy do lektury.

Powstanie Styczniowe – minęło 150 lat

W tym roku obchodziliśmy 150 rocznicę bohaterskiego zrywu obywateli Królestwa Obojga Narodów – jeszcze jednej próby wyzwolenia spod okupacji.

W tę 150 rocznicę nasze społeczeństwo czekało na decyzję Sejmu Rzeczypospolitej, aby ten rok poświęcić bohaterom – naszym dziadom, którzy stracili w tej walce o wolność majątki, a często złożyli najwyższą ofiarę – życie. Na pewno wśród posłów Rzeczypospolitej są wnuki tych, którzy stanęli do walki o wolność. Sejm zlekceważył tę rozpaczliwą walkę. Nie pomógł udział prezydenta Bronisława Komorowskiego w uroczystościach ku czci powstańców – pozostał niesmak z powodu decyzji sejmu...

Na temat Powstania wiele napisali patrioci – pragnę tylko przytoczyć słowa niezapomnianego Prymasa Tysiąclecia Stefana kardynała Wyszyńskiego w 100 rocznicę jego wybuchu. Tak pisał przed pięćdziesięciu laty w artykule „W stulecie powstania styczniowego”:

(...) w tym zrywie politycznym połączonym ze zrywem społecznym walczyli prawie wszyscy. W szeregach powstańczych widzieliśmy nie tylko ziemian, których z takim upodobaniem przedstawia Grottger, i nie tylko mieszczan; widzieliśmy robotników, rzemieślników, chłopów-kosynierów, widzieliśmy przedstawicieli wszystkich warstw narodu. Zdaje się, że Powstanie było jak najbardziej narodowe, że właśnie „z kurzem krwi bratniej” wyrastał z polskiej ziemi, z otwartych przez bagnety piersi, kwiat wspólnoty narodowej. To znaczy bardzo wiele! (...)

A więc to miało znaczenie, chociaż Powstanie było podobno przegrane. Było przegrane, jak „przegrany” jest rolnik, który z pustymi miechami wraca do zagrody, gdy wysiał złote ziarno.

A jednak wraca spokojnie, bo rozpoczęła się jakaś wielka praca...

Zdaje się, że „nieudane” Powstanie oddało wielką przysługę wszystkim trzem zaborom, bo rozpoczęła się praca myśli polskiej, która przekroczyła kordony i podała ręce tym, co byli w Warszawie, w Poznaniu i w Krakowie i tym co byli gdzieś daleko na Litwie i na Rusi. Powiązała ich wszystkich i zaczęła się wspólna praca. (...)

Jakże ważne i prawdziwe są te słowa.

Przecież ten polski zryw niepodległościowy zmusił dwie potęgi zaborcze do zmobilizowania przeciw niemu kilkuset tysięcy ludzi i mógł doprowadzić do wojny europejskiej. I chociaż w końcu po wielu miesiącach heroicznych zmagania, po stoczeniu przeszło 1.200 bitew i potyczek, z udziałem blisko 100 tys. ochotników, powstanie upadło, pociągając za sobą ogromne straty w ludziach i długotrwałą falę prześladowań, to o jego *nietykalnych osiągnięciach i zwycięstwach*, jak pisał kardynał Wyszyński, nie wolno zapominać. Czytamy dalej:

(...) jest rzeczą pewną, że naród bez tego zrywu (styczniowego), okupionego krwią, nie oparłby się bismarckowskiej polityce „Kulturkampf”. Nie oparłby się germanizacji i rusyfikacji. Przed tym etapem, który dla umęczonego narodu był jedną z najcięższych prób, trzeba było ofiar. Te ofiary padły i wydały swój owoc, bo obudziło się sumienie narodu. (...)

W Pruszkowie w rocznicę wybuchu Powstania w kościele pod wezwaniem świętego Kazimierza emerytowany dziekan dekanatu pruszkowskiego i proboszcz naszej parafii, ksiądz prałat Józef Podstawka odprawił mszę świętą i wygłosił podniosłą patriotyczną homilię. Po Mszy świętej, obecne na niej delegacje młodzieży ze szkół pruszkowskich przemaszerowały pod przewodnictwem

członków Stowarzyszenia Szarych Szeregów pod pomnik Szesnastu Przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, gdzie zapalono znicze – uroczystość zakończono odśpiewaniem pieśni-przysięgi „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”.



Już 20 stycznia, dzięki przychylności i pomocy Dyrekcji Centrum Kultury i Inicjatyw Obywatelskich w Podkowie Leśnej odbył się okolicznościowy koncert Chopinowski w wykonaniu wspaniałej pianistki pani Kayo Nishimizu, znanej nam z wielu koncertów w Muzeum Starożytnego Hutnictwa Mazowieckiego. Słowo wstępne, nawiązujące do znaczenia Powstania Styczniowego, wygłosił działacz społeczny, mieszkaniec Podkowy Leśnej, pan Oskar Koszutski.

W czasie koncertu wyświetlono obrazy malarzy przedstawiające sceny z powstania.

Po koncercie obecni otrzymali broszurę opracowaną przez pana Tadeusza Jarosa pod tytułem „Wstań i idź” – pani Kayo Nishimizu została obdarowana albumem ilustrującym piękno Polski.

Współorganizatorem tych uroczystości był wiceprezes Pruszkowskiego Towarzystwa Kulturalno-Naukowego, członek Stowarzyszenia Szarych Szeregów kręgu im Aleksandra Kamińskiego, pan Jerzy Blancard.

Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno – Naukowe zorganizowało spotkanie poświęcone Powstaniu Styczniowemu.

Na nim prof. dr Marian Marek Drozdowski wygłosił wykład.

Prof. dr Marian Marek Drozdowski

Przewodniczący Komisji Biografistyki PTH i TMH

Prawnik powstańców styczniowych

Refleksje o Powstaniu Styczniowym

*

W domu rodzinnym wyrastałem w atmosferze legendy Powstania Styczniowego w związku z uczestnictwem w nim pradziadków – Sosnowskiego i Klauzego – ojca Babci Marii Drozdowskiej.

Jako harcerz lat 1945-1949 brałem udział w wycieczkach do Sędziejowic – miejsca zwycięskiej bitwy powstańczego oddziału z oddziałem kozaków. Później w Pabianicach mieszkałem na stacji Stanisławy Abramowskiej-Łaskiej, członkini Organizacji Bojowej PPS, łączniczki Towarzysza „Wiktora”- Józefa Piłsudskiego, Sybiraczki, która na Syberii poznała bliżej powstańców styczniowych skazanych na katorgę, podobnie jak jej mąż uczestnik powstania czerwcowego 1905 r. w Łodzi. Od niej dowiedziałem się, że socjaliści polscy – nurtu niepodległościowego Towarzysza Wiktora – Józefa Piłsudskiego, czuli się realizatorami testamentu „Czerwonych” z Powstania Styczniowego. Ojciec Pani Abramowskiej – staruszek Kącki – miał kilkanaście lat w czasie Powstania Styczniowego. Opowiadał nam o Powstaniu, o udziale robotników Łodzi, Pabianic i Zduńskiej Woli w Powstaniu, o napadach kozaków na okoliczne dwory, które były główną bazą powstańców.

Dzięki Pani Abramowskiej, jeszcze przed maturą, poznałem studium Józefa Piłsudskiego z 1924 roku „Rok 1863”. Moim zdaniem praca ta powstała po lekturze „Powstania Styczniowego” Artura

Śliwińskiego. Piłsudski, pisząc o konfliktach między zwolennikami margrabiego Aleksandra Wielopolskiego a zwolennikami „Białych” i „Czerwonych”, podkreślał: *„Rok 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły- nie „treuga Dei” szui zbiorowej, nie „treuga Dei” tchórzy, lecz „treuga Dei”*, [treuga Dei – pokój Boży – wprowadził go papież w XI w.; był to zakaz walki feudałów przez 230 dni w roku – redakcja], *którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął rosną w olbrzymiej pracy moralnej... I gdy jeszcze raz rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? – znajduje odpowiedź: „wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 r. istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który nieznany z imienia był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów”*. Symbolem tego Rządu Narodowego była jego pieczęć. Dysponował on własnymi oddziałami partyzanckimi, własnym skarbem i podatkiem narodowym, własną pocztą, środkami komunikacyjnymi, własną policją, dyplomacją, prasą. Do tradycji tego rządu nawiązywało Podziemne Państwo Polskie lat 1939-1945 i Armia Krajowa.

W czasach stalinowskich „białych plam” historii i jej wulgaryzacji z pozycji „marksizmu-leninizmu”, modna była rehabilitacja polityki Margrabiego Wielopolskiego w duchu biografii, znakomitego, przed wojną, publicysty Ksawerego Pruszyńskiego, wydanej w 1943 r. Pruszyński po decyzjach jałtańskich, eksponował realizm polityki Wielopolskiego, który po rebelii Galicyjskiej 1846 r. stał się zwolennikiem orientacji prorosyjskiej, ugody z carską Rosją za cenę uzyskania autonomii Królestwa Polskiego. W 1861 r. pełni on funkcję dyrektora Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego a także Komisji Sprawiedliwości. Spowodował rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego i doprowadził 16 maja 1861 r. do wydania ukazu o zamianie pańszczyzny na tzw. okup pieniężny.

Poza tym uzyskał on zgodę na przywrócenie samorządu lokalnego i Rady Stanu Królestwa. Spolonizował administrację i podjął reformę szkolnictwa. W końcu października 1861 r. złożył dymisję mając konflikt z rosyjskim ministrem wojny N. O. Suchonazetem. Po powrocie z Petersburga do Warszawy w czerwcu 1862 r. stał się Naczelnikiem Rządu Cywilnego w Królestwie Polskim, ogłosił przygotowany przez siebie ukaz o oczynszowaniu chłopów, równouprawnieniu Żydów i spolonizowaniu wszystkich szczebli oświaty, w tym o powołaniu Szkoły Głównej. Jako zdecydowany przeciwnik powstania, w celu rozbicia organizacji „Czerwonych” głównej siły zmierzającej do powstania, ogłosił brankę młodych, według wykazu imiennego do armii, wywołując tym samym przedwczesny wybuch Powstania Styczniowego”.

Obronę polityki Wielopolskiego dostrzegałem w wystąpieniach niektórych publicystów historycznych na posiedzeniach Klubu Krzywego Koła na warszawskim Starym Mieście. W stulecie Powstania Styczniowego w 1963 r. Instytut Historii PAN, TMH i Instytut Historyczny UW uruchomiły serię studiów poświęconych Powstaniu Styczniowemu, pod redakcją naukową znakomitego jego znawcy Prof. Stefana Kieniewicza. Pamiętam Jego wystąpienie w TMH, kiedy mówiąc o Warszawie Powstania Styczniowego podkreślał: *W Pałacu Bruhlowskim, dawnej rezydencji Wielopolskiego, zasiadał Komitet Urządzający – nowa władza, wyposażona w rozległe uprawnienia. Tutaj przygotowywano ostateczne zniesienie odrębności Królestwa, zaprowadzenie języka rosyjskiego w szkołach, urzędach, sądownictwie. Nazwa Królestwo Polskie zmieniono wkrótce na Kraj Przywiślański. Burżuazja rosyjska popierając carat zapowiadała, że wynarodowienie miejscowej ludności będzie kwestią niedługiego czasu.*

5 sierpnia 1964 r. udało mi się, jako przewodniczącemu Sekcji Historii Warszawy TMH i ppor. rezerwy III Dywizji Piechoty im Romualda Traugutta (po Studium Wojskowym WSE w Szczecinie), zorganizować w Telewizji obchód 100-lecia stracenia członków Rządu Narodowego na czele z Trauguttem na Cytade-

li Warszawskiej. Dzwoniąc do instytucji samorządowych i wojskowych wykorzystałem asekuracyjny strach urzędników przed odpowiedzialnością za zaniedbania obowiązków, które nikt z ich zwierzchników im nie narzucał, ze względu na brak decyzji Wydziału Agitacji i Propagandy KC PZPR i Głównego Zarządu Politycznego WP w tej sprawie.

*

Dzisiaj, po analizie wielu źródeł i prac traktujących o Powstaniu Styczniowym, pragnę dać odpowiedź na kilka pytań z nim związanych. Jaka była geneza Powstania? Genezę Powstania widzę przede wszystkim w zranionej dumie narodowej i braku praw obywatelskich przez wiele lat, deptanych i prowokowanych przez despotyzm carski. Jej etapami był kilkuletni okres odrodzenia moralnego, jak nazywa Marian Kukiel „rewolucji moralnej”, który niestety objął tylko część głównie społeczeństwa miejskiego i część szlachty i oficjalistów. Warto przypomnieć strukturę społeczną ziem polskich w 1863 r., którą pomija A. Śliwiński. Dominowali chłopci, którzy pod koniec lat 50-tych stanowili 76% ludności Królestwa Polskiego, 80% ludności Galicji, 72% ludności Wielkopolski i 92% ludności w zachodnich guberniach Rosji.

W Królestwie Polskim 53% włościan odrabiało w 1859 r. nadal pańszczyznę, 46% płaciło czynsze, a zaledwie 1% posiadało grunty okupne lub posiadane na dawnych przywilejach sołtysich. Ich konflikt z dworem był nadal bardzo silny.

Specyfiką polską był duży odsetek osób legitymujących się szlacheckim klejnotem osiadłych na wsi i w mieście pozbawionych ziemi. W Królestwie było ich ok. 40%. Osoby z klejonym szlacheckim zasilają warstwę urzędników, kupców, drobnych przemysłowców, rzemieślników, wyrobników a także ludzi społecznego marginesu. Około 25 % ogółu szlachty Królestwa Polskiego mieszkalo w miastach. Była to głównie drobna szlachta podatna na radykalne hasła narodowe.

Stan trzeci, mieszczaństwo, był wówczas bardzo słaby. Mieszkańcy miasta stanowili wówczas 25% ludności Królestwa Polskiego, 10,0% ludności Galicji i 28,0% ludności Wielkopolski. Wśród miast Królestwa Warszawa zajmowała pozycję wyjątkową licząc 230 tys. mieszkańców, Łódź miała tylko 26 tys. Lublin 15,5 tys. Po tych miastach szły takie jak: Kalisz, Płock, Piotrków, Suwałki.

Znaczny odsetek ludności miejskiej Królestwa stanowiła ludność żydowska skoncentrowana w bankowości, handlu, rzemiośle i chałupnictwie. W Warszawie wśród tej ludności kluczową rolę odgrywali Kronenbergowie, mający własny organ prasowy, duże wpływy polityczne w Towarzystwie Rolniczym następnie w Delegacji Miejskiej i Epsteinowie, korzystający z języka polskiego w synagodze. Inteligencja skupiona głównie w Warszawie i innych miastach Królestwa stanowiła bardzo nieliczną warstwę społeczną. W 1860 r. w Królestwie Polskim 90% ludności powyżej lat 10 stanowili niepiśmienni, w Warszawie było ich ponad 60%. Wśród mężczyzn ewangelików było ich 13,4%, wśród Żydów 23,2%, wśród katolików 34,0%. W takich warunkach społeczno – oświatowych idee powstania mogły docierać tylko do znikomej części społeczeństwa.

*

Jestem dumny z tego, że moi pradziadowie – Sosnowski i Klauze – mieszkańcy Ziemi Łaskiej wspomagali działania Pułku Ułanów Polskich gen Edmunda Taczanowskiego, który 26 sierpnia 1863 r. zniósł doszczętnie sotnię Kozaków pod Sędziejowicami, w guberni piotrkowskiej. Pod wpływem tego sukcesu Ojciec i wielu Jego kolegów, działających w konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej i Legionach Polskich marzyło, by w walce o Niepodległość odtworzyć tradycję wspomnianego Pułku. Pamiętał o tym sukcesie Hufiec ZHP Łask w latach 1945-1949, kiedy na czele Rady Naczelnej naszej organizacji stał

dh Aleksander Kamiński („Kamyk”) – bohater Polskiego Państwa Podziemnego, stalinowski więzień.

W sierpniu ugrupowanie powstańcze gen. Michała Kruka-Heydenreicha – naczelnika wojskowego województwa podlaskiego i lubelskiego – odniosło efektywne zwycięstwo w bitwie pod Chruśliną i Żyrzynem w Lubelskim. Niestety, w bitwie w okolicach Fajslawic, w powiecie krasnostawskim w dniu 28 sierpnia Polacy ponieśli porażkę, która sparaliżowała działania powstańcze na Lubelszczyźnie.

W tym czasie w lasach litewskich w powiecie prużańskim i na Grodzieńszczyźnie skutecznie działała grupa powstańcza Walerego Wróblewskiego. Istotną datą w dziejach Powstania Styczniowego jest dzień 17 października 1863 r. dzień objęcia dyktatury przez Romualda Traugutta (16 I 1826-5 VIII 1864). Był on jednym z najwybitniejszych przywódców Powstania Styczniowego. Miał za sobą służbę w armii rosyjskiej, w kampanii węgierskiej i wojnie krymskiej. Na własną prośbę wystąpił z tej armii w 1862 r. w stopniu podpułkownika. Po wybuchu Powstania Styczniowego stanął na czele oddziału powstańczego w Kobryńskim – ziemi Naczelnika T. Kościuszki na Polesiu. 14 sierpnia, po przybyciu do Warszawy, mianowany został generałem i wysłany przez Rząd Narodowy do Paryża, by tam zaktywizować pomoc Francji dla Powstania. Po przejęciu dyktatury, jako jedyny członek Rządu Narodowego, był zwolennikiem bezkompromisowej walki. Stał się faktycznie zwolennikiem programu „Czerwonych”. Odbudował on centralne władze powstańcze, zreorganizował siły zbrojne powstania, tworząc jednolite korpusy. Próbował także zorganizować pospolite ruszenie chłopów. Starał się rozwinąć kontakty z rewolucjonistami włoskimi i węgierskimi. W grudniu 1863 r. wydał dekrety o bezwzględnym wykonaniu uwłaszczenia chłopów. Czuwać nad realizacją tej uchwały miały, powołane przez niego, specjalne organy administracyjno-sądownicze. 11 kwietnia 1864 został aresztowany a 5 sierpnia, po procesie, stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej wraz z czterema innymi przywódcami Powstania.

Tragizm śmierci Traugutta, człowieka głębokiej religijności, oddaje min. wspomnienie Marii Jehanee Wielopolskiej:

Kat zakładał stryczki z brutalną zwinnością, jeden po drugim. Pan Traugutt złożył ręce do modlitwy i patrzył w niebo, nie mrużąc już oczu. Pan Toczyński ucałował stryk, jak dawni męczennicy, i sam go sobie pchnął aż po krtań. Pan Krajewski uśmiechnął się do kata, który mu przewiązał brodę: wyciągnął ją spod stryka i ułożył na piersi czarnym wachlarzem. Gdy do Pana Żulińskiego zbliżył się oprawca, panna stojąca obok mnie wspina się nagle na palcach i dziwnym, strasznym, szklanym głosem zawołała – Bracie! Odwagi! Wówczas pan Żuliński zarumienił się lekko i skinął ku niej głowę, z niezmiernym dostojenstwem i miłością. Ujrzelśmy, pan Traugutt patrzy na nas i że otwiera usta, aby coś powiedzieć- w tej chwili jednak trzasnął kat obcasem w schodki, na których pan Traugutt stał. Jeszcze czterokrotnie powtórzył się ten trzask, jak kanonada najstraszniejszych armat, a bęben zawarczał. Panna Żulińska padła pierwsza na kolana, a za nią runął cały tłum, wszyscy co do jednego, katolicy i Żydzi, bez krzyku, bez słowa. Tylko jedna pani Krajewska stała – szóste, nieruchome drzewo męki i wysoko nad naszymi głowami podniosła dziecko – trzyletnie może dziecko, pokazując je wiszącemu mężowi. Wyście dużo zapewne widzieli pól, zasłanych trupami- ale nie widzieliście nigdy i nie zobaczycie takiego pola żywych ciał ludzkich, który wydawało się być polem umarłych...

Scena egzekucji Traugutta i towarzyszy w obecności przymusowo zebranych kilkudziesięciu tysięcy Warszawian miała ich zniechęcić do zbrojnego oporu. Tym czasem została ona zapamiętana i mobilizowała do dalszej walki kilka pokoleń rodaków.

Nadal trwały akcje powstańców na liniach kolejowych Królestwa. Do 12 grudnia 1863 r. walczył ofiarnie na Litwie oddział ks. Antoniego Mackiewicza, powieszono go w Kownie. Także na Litwie działał niestrudzenie Konstanty Kalinowski, faktyczny

przywódca powstania w tym kraju i na Białorusi 21 lutego 1864 r. dochodzi do ataku zgrupowania gen. Józefa Hauke-Bosaka na garnizon opatowski. Polacy ulegli olbrzymiej przewadze wroga mimo początkowych sukcesów w walce oddziału Zwierzchowskiego (ps. „Topor”) – dowódcy dywizji krakowskiej i oddziału płk Kurowskiego.

6 sierpnia 1864 r. po egzekucji Traugutta i towarzyszy, ukażała się odezwa Aleksandra Waszkowskiego, powstańczego naczelnika Warszawy, w której czytamy: „bądźmy jak oni wytrwali, jak oni walczyli bezustannie a miliony ludu wyrwiemy z nędzy i niewoli i popioły braci męczenników w wolnej spoczywać będą Ojczyźnie”.

Do końca kwietnia 1865 r. walczył na Podlasiu, w rejonie Sokołowa Podlaskiego, oddział konny księdza Stanisława Brzóska, którego Rosjanie powiesili w Sokołowie 24 maja 1865 r. Kilku-dziesięciu jego współpracowników zesłano na Sybir.

Jakie były źródła porażki Powstania Styczniowego? Przede wszystkim olbrzymia dysproporcja sił. W ostatnich miesiącach Powstania przy jego pacyfikacji brało udział 400 tys. wyćwiczonych żołnierzy, zaopatrzonych w nowoczesną broń tych czasów, przede wszystkim artylerię, walczyli oni z 25 tys. powstańców, bardzo słabo uzbrojonych, którzy mimo obietnic nie otrzymali pomocy państw zachodnich, głównie Francji. Nie udało się organizatorom Powstania Styczniowego zdobyć szerokiego poparcia polskiego włościanstwa. Większe oparcie tej warstwy społecznej uzyskano na Litwie i Żmudzi niż w Królestwie. Bardzo wrogi stosunek do Powstania miało prawosławne chłopstwo ukraińskie. Poparcie dla Powstania ze strony ludności żydowskiej bardzo znaczne w czasach jego dojrzewania, tzw. rewolucji moralnej słabło wraz z coraz liczniejszymi porażkami oddziałów powstańczych. Wrogi stosunek do Powstania manifestowali koloniści niemieccy oraz ziemiaństwo i mieszczaństwo dawanych Inflant Polskich.

Terror zastosowany przez Murawiewa na Litwie i Berga oraz Trepowa w Królestwie zniechęcał do udziału w Powstaniu wie-

lu rodaków. Przypomnijmy za Józefem Grabcem (Dąbrowskim) – historyku Powstania Styczniowego: (...) 20 tys. przeszło zabitych i rannych zalegało pola bitew i potyczek, 6295 wzięto z bronią w rękę, przynajmniej 50 tys. (?) wygnańców poszło w tajgi i tundry Syberii, kilkadziesiąt milionów wypełniło kasy moskiewskie. Obszar ziemi polskiej w granicach dawnej Rzeczypospolitej, wydartej nam przez Moskalą drogą gwałtu wzrósł do olbrzymiej liczby 5982000 morgów.

W ciągu 15 miesięcy trwania Powstania zdołano łącznie zmobilizować około 200 tys. ochotników, w poszczególnych okresach walczące siły zbrojne skupiały maksimum 30 tys. powstańców, którzy stoczyli około 1200 potyczek. Po wyrokach sądowych powieszono 670 osób, większość traciła życie w wyniku rozkazów rosyjskich dowódców. W Królestwie skonfiskowano około 1660 majątków, na ziemiach zabranych około 1800. Liczbę emigrantów powstaniowych szacuje się na 10 tys.

Ale nie możemy zapomnieć o pozytywnych rezultatach Powstania Styczniowego. Jego dyplomacja prowadzona przez księcia Kazimierza Czartoryskiego a następnie przez Gabriela Łuniewskiego wpłynęła na pozytywny stosunek do Powstania papieża Piusa IX. Na prośbę polskich dyplomatów papież w kwietniu 1863 r. apelował do Napoleona III i Franciszka Józefa I, by „tarczą swej potęgi osłaniali nieszczęśliwych katolików polskich, jęczących pod uciskiem prawosławia rosyjskiego”.

Kościół katolicki w czasie Powstania zdobył olbrzymi autorytet. Ostoją Powstania było wiele parafii i prawie wszystkie klasztory męskie i żeńskie, stąd w ramach represji uległy one kasacji, w tym unicki zakon Bazylianów w Królestwie Polskim. Dziesiątki księży stało na czele oddziałów powstańczych i organizowało pomoc rodzinom powstańczym i Sybirakom. Dostrzegając represje carskie, w obronie prześladowanych stanął abp Zygmunt Szczęśny-Feliński (1822-1895), zrezygnował z Rady Stanu i osobiście interweniował pisemnie u cara Aleksandra II w sprawie praw ludności polskiej Królestwa. Car nie darował – na jego rozkaz arcy-

biskup został skazany na 20-letnie wygnanie w Jarosławiu nad Wołągą. Pod koniec życia osiadł w Galicji. Jan Paweł II doceniając jego zasługi dla warszawskiego Kościoła i Polaków, dokonał jego beatyfikacji w 2002 r.

Innym uczestnikiem Powstania Styczniowego, kanonizowanym w 1989 r. przez Jana Pawła II, był Adam Chmielowski – brat Albert (1845-1916) utalentowany malarz, autor min. scen powstańczych i rodzajowych, franciszkanin, wybitny działacz charytatywny. „Św. Albert – pisał Jan Paweł II – jest dla naszych czasów jakimś znakiem i równocześnie wyzwaniem. Dzisiaj, kiedy w zastraszający sposób szerzy się egoizm, obojętność i znieczulica serc, jakże potrzeba odnowionej wrażliwości na człowieka, na jego biedę i cierpienia.”

W 1991 r. Jan Paweł II kanonizował innego bohatera Powstania Styczniowego – Józefa Kalinowskiego (1825-1907) – brata Rafała, z wykształcenia inżyniera wojskowego, związanego z „Czerwonymi”, kierownika sekcji wojskowej i szefa Wydziału Wykonawczego Litwy Rządu Litwy, w 1864 r. skazanego na śmierć, zmienioną na 10 lat Sybiru. W homilii kanonizacyjnej papież podkreślił: *Polskie powstanie 1863 r. przeciw potędze caratu , który ciemniżył rodaków, było uważane przez wielu za walkę straceńczą, bez możliwości zwycięstwa. Jednak znajdowali się tacy, którzy nie cofali się przed tym bohaterskim krokiem. Do nich należał Józef Kalinowski, z wykształcenia inżynier wojskowy, który powiedział min.: „Ojczyzna nie krwi ale potu potrzebuje”. Widząc jednak innych gotowych do walki, poczuł się zobowiązany także on oddać swe życie.*

Wspomniane kanonizacje były, moim zdaniem, związane z bardzo wysoką oceną Powstania Styczniowego przez Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego – Prymasa Polski , który w homilii na 100-lecie Powstania powiedział: *My bardzo często robimy nad trumną rachunek sumienia. I naród polski nad trumną Powstańców 1863 r. zrobił rachunek sumienia . Był on dla nas zbawczy. Dlatego z głęboką czcią kłękamy na śladach krwi naszych braci, którzy nie*

zawahali się oddać jej, abyśmy żyć mogli. Z głęboką czcią całujemy drogi ich bitew, na których ofiarność zda się w beznadziejny sposób walczyła o niewątpliwe prawo wolności... Tylko właśnie ci, co padli, obejmując miłosiernie otwartą piersią ukrzyżowaną pierś Matki-Polki. Tylko oni mieli rację! A my po stu latach wiemy to jeszcze lepiej.

Kościół stał się w trakcie Powstania czynnikiem integrującym naród ponad podziałami politycznymi. *Powstanie* – podkreśla prof. Władysław Czaplicki – wybitny historyk dziejów nowożytnych – *przyspieszyło uwłaszczenie włościan, położyło kres próbom porozumienia klas posiadających z zaborcą, wykopało głęboką przepaść między społeczeństwem a caratem, które obecnie własnymi rękoma musiało przeprowadzać ujarzmienie Polski, co w dużej mierze przyczyniło się do scementowania narodu.*

Istotne doświadczenia dla polskiego ruchu niepodległościowego płynęły z międzynarodowych aspektów Powstania Styczniowego. Dla Francji i Anglii kluczową rolę w polityce europejskiej odgrywały dobre stosunki z carską Rosją i dlatego początkowo, nie wierząc w sukces powstania, i eksponując jego niebezpieczny radykalny charakter, potępił, poprzez swych konsulów Powstanie. Bardziej oględna była Anglia, która dbała o swoje interesy, zagrożone przez Rosję w rejonie cieśnin czarnomorskich.

Śmiertelnym wrogiem dla Powstania była nie tylko Rosja ale i Prusy – 8 lutego 1863 r. państwa te podpisały w Petersburgu konwencję wojskową o współdziałaniu przeciwko polskim powstańcom. Do konwencji nie przystąpiła Austria.

Po tej konwencji Napoleon III szukał sojuszu z Austrią i zachęcał powstańców do kontynuowania walki. Nie złożył jednak księciu Władysławowi Czartoryskiemu żadnych konkretnych obietnic pomocy.

W nocy z 27 czerwca 1863 r. Anglia, Francja, Austria do rządu rosyjskiego wystąpiły z żądaniem amnestii dla powstańców autonomicznej polskiej administracji w Królestwie, swobody sumienia i ustanowienia praworządnego systemu poboru do woj-

ska. Rząd rosyjski zbagatelizował tę notę. Następne noty państw zachodnich były utrzymane w duchu respektowania zasad Traktatu Wiedeńskiego z 1815 r. 29 lutego 1864 r. władze austriackie ogłosiły stan oblężenia w Galicji i zerwały z polityką tolerowania organizacji narodowej w zaborze austriackim.

18 kwietnia 1864 r. cesarz Napoleon III w rozmowie z Czarotoryskim podkreślił, że powstanie nie ma sensu, nie może ono liczyć na żadną pomoc z Zachodu. Po dymisji Czarotoryskiego powstańczy rząd Bronisława Brzezińskiego powołał na jego miejsce księcia Adma Sapiechę. Jednocześnie inny przedstawiciel Rządu Narodowego – Józef Ordega – podpisał z Garibaldim porozumienie w sprawie zbrojnej walki z Austrią, które nie miało żadnego praktycznego znaczenia.

Prasa powstańcza pod koniec walk podkreślała samotność Powstania. Bogate kraje Zachodu biernie przyglądały się rosyjskiemu barbarzyństwu. Tylko część opinii publicznej, głównie radykalnej, narodów walczących o niepodległość współczuła nam przysyłając ochotników wzmacniających oddziały powstańcze. Byli to Włosi, Węgrzy, Słowacy, Czesi, Bułgarzy a także rewolucjoniści rosyjscy. Po londyńskim mityngu poparcia dla powstania 28 września 1864 r., którego współorganizatorem był Karol Marks, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników – I Międzynarodówka. Niepodległość Polski dla uczestników mityngu miała stać się zaczynem rewolucji europejskiej.

Powstanie Styczniowe służyło niewątpliwie umiędzynarodowieniu sprawy polskiej. Olbrzymi wpływ wywarło ono na rozwój kultury polskiej. Polska myśl socjalistyczna nurtu niepodległościowego czuła się kontynuatorką „Czerwonych” z Powstania Styczniowego. Paryskiemu zjazdowi PPS przewodniczył uczestnik Powstania Bolesław Limanowski. Powstańczy Sybiracy byli nauczycielami Sybiraków z PPS. Ruch narodowo – demokratyczny, reprezentowany przez Ligę Polska, Ligę Narodową i Stronnictwo Narodowo – Demokratyczne, uwzględniając bierność większości chłopów w czasie Powstania, kładł nacisku na ich

obywatelską edukację, min. przez Macierz Szkolną, Towarzystwo Przyjaciół Szkoły Ludowej i inne instytucje. W stulecie Insurekcji Kościuszkowskiej powstał ruch ludowy, który samodzielnie realizował te cele.

Dla wszystkich polskich nurtów politycznych było jasne, że pełną niepodległość można uzyskać w warunkach ostrego konfliktu wśród mocarstw zaborczych, a więc przy sprzyjających warunkach międzynarodowych, których w latach 1863-1864 nie było. Uzyskana autonomia przy pomocy jednego z tych mocarstw winna być wykorzystana do przygotowania się do pełnej niepodległości. Tak robił J. Piłsudski, któremu towarzyszył min A. Śliwiński. Manifesty, powstałe po klęsce Powstania w warunkach głębokiej frustracji; głosiły hasło „do grobu z liberum conspiro” (Józef Szujski). W tym duchu rozwijała się myśl polityczna i artystyczna polskiego pozytywizmu. Ale i on nie mógł bagatelizować dorobku poezji, reprezentowanego przez C. Norwida, K. Gaszyńskiego, W. Pola, W. L. Anczyca, A. Asnyka, K. Ujejskiego, W. Wolskiego, M. Romanowskiego.

W prozie Powstanie Styczniowe zostało utrwalone min w twórczości J. I. Kraszewskiego, M. Bałuckiego, B. Prusa, S. Żeromskiego, E. Orzeszkowej, G. Daniłowskiego, A. Struga, M. Dąbrowskiej. *Cyprian Norwid* – przypomina Stanisław Frybes – *napisał w 1861 r. prorocze słowa: „Upadek, który pozostawi po sobie następstwa – żywotne, jest zwycięstwem.”*

W sztuce Powstanie Styczniowe żyje w cyklach rysunkowych A. Grottgera, dziełach M. Gierymskiego, J. Matejki, A. Piotrkowskiego, F. Streitta, W. Rossowskiego, L. Benedyktowicza, W. Pruszkowskiego, A. Sochaczewskiego, J. Malczewskiego i J. Kossaka.

W czasie Powstania powstało wiele pieśni, często anonimowych. Wydano kilka „Śpiewników Narodowych”. Echa Powstania występują w ariach „Strasznego dworu” S. Moniuszki i twórczości I. J. Paderewskiego, który jako dziecko przeżył Powstanie Styczniowe na Podpolu. Na cześć rocznicy Powstania skompono-

wał on Symfonię h-moll – Polonia. Wykonano ją min. we Lwowie, pod batutą Henryka Opieńskiego, z okazji setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina.

Narodową tragedię styczniową przypomina Symfonia F-dur E. Młynarskiego oraz obraz sceniczny pt. „Romuald Traugutt” B. Schaeffera. Całe to bogactwo kulturowe, powstałe dzięki Powstaniu Styczniowemu, nie może być zapomniane, i żadna poprawność polityczna czy aktualizacja ideologiczna nie może go przekreślić.

Literatura

- Artur Śliwiński, *Powstanie Styczniowe*, Warszawa 1919
- Józef Dąbrowski ps Grabiec, *Rok 1863*, Kraków 1913
- Stefan Kieniewicz, *Powstanie Styczniowe*, Warszawa 1972
- Stefan Kieniewicz, *Warszawa w Powstaniu Styczniowym*, Warszawa 1954
- Powstanie Styczniowe 1863-1864. Wrzenie. Bój. Europa. Wizje*. Pod redakcją Stanisława Kalembki, Warszawa 1990
- Powstanie Styczniowe. 1863 Kłeska i chwała*, Warszawa. Polityka. Pomocnik historyczny, Warszawa 2013
- Warszawa w pamiętnikach Powstania Styczniowego*, opracował i przedmową opatrzył Krzysztof Dunin Wąsowicz, Warszawa 1963
- Michał Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie. Tom III*, Warszawa 1931
- Władysław Czapliński, *Zarys dziejów Polski do roku 1864*, Kraków, 1985
- Kronika powstań polskich 1794-1944*, Warszawa 1994
- Jędrzej Giertych, *Kulisy Powstania Styczniowego*, Kurytyba 1965
- Jan Paweł II o dziejach Polski, Radom 2004
- Marian Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowe 1795-1921*, Londyn 1964
- Ks. Stefan kardynał Wyszyński, *W stulecie Powstania Styczniowego*, „Zeszyty Historyczne”, z. 74, Paryż 1985, s. 3-7

Powstanie Styczniowe na Zachodnim Mazowszu

Obraz geopolityczny naszego kraju poprzedzający wybuch Powstania Styczniowego oraz jego ogólny przebieg jest Państwu zapewne znany, choćby z wiedzy nabytej w szkole. Jednakże niewiele wiemy o wydarzeniach związanych z zachodnim regionem Mazowsza.

Bezpośrednią przyczyną, tak jak na terenie całego Królestwa Polskiego była branka ogłoszona przez szefa tajnej policji carskiej – Siergieja Muchanowa. Branka teoretycznie miała zapobiec coraz większym ruchom wyzwolenческим w Królestwie Polskim i planowanemu, kolejnemu powstaniu, jednak w praktyce okazała się fiaskiem.

Metoda poboru była prosta: żandarmeria rosyjska wyciągała na siłę z domów młodych mężczyzn, przeważnie nocą i natychmiast przewoziła ich do garnizonów wojskowych.

Młodzież zaczęła ukrywać się, uciekać do lasów, m.in. do Puszczy Kampinoskiej, gdzie tworzone pierwsze bataliony powstańcze. Oddziały te były dowodzone przez oficerów i podoficerów polskich, byłych żołnierzy zawodowych armii carskiej.

W naszym regionie zorganizowano cztery takie bataliony: w lasach Radziwiłłowskich, w Skierniewickich, w Puszczy Bolimowskiej i największy, w Puszczy Kampinoskiej. Od jesieni 1862 roku w Kampinosie stacjonował sztab powstańczy dowodzony przez Zygmunta Padlewskiego. Był tu również ze swoimi oddziałami pułkownik Ludwik Żychliński, który zorganizował batalion piechoty, składający się głównie z młodzieży warszawskiej, nazwany przez niego – Dziećmi Warszawy.

Czy działania militarne ominęły podwarszawską wieś letniskową Brwinów? Nie wiadomo. Natomiast biorąc pod uwagę istniejącą tu od 18 lat linię kolejową oraz biegnącą tędy drogę łączącą Kampinos z Błoniem i z Nadarzynem jest wielce prawdopodobne, że przez Brwinów szła powstańcza kontrabanda.

Tymczasem w najbliższej okolicy aż wrzało. W maju 1863 roku w pobliskim Pruszkowie i Grodzisku, ze względu na grożącą wyspę musiano szybko przerzucić ukrytą broń do folwarku Dęby, w lasach Osuchowskich pod Mszczonowem. Były to sztucery, pistolety, rewolwery, proch, amunicja oraz pałasze i sztylety. Broń została zakupiona jeszcze zimą 1862 roku w Anglii, w Belgii i we Francji, i to dzięki fundacji założonej przez brwinowianina, kapitana Feliksa Nowosielskiego, uczestnika Powstania Listopadowego – kawalera Virtuti Militari.

Przerzut uzbrojenia odbywał się niedaleko Sosnowca, w tak zwanym trójkącie granicznym, czyli u zbiegu trzech granic – pruskiej, austriackiej i rosyjskiej. Broń chowano w ścianach i podłodze wagonów z węglem i, jeśli wcześniej nie została wykryta przez Prusaków, lub Austriaków, i nie wpadła w rosyjskie łapy – jechała dalej bezpieczna aż do stacji podwarszawskich.

Broń odbierano w Łowiczu, Skierniewicach, Grodzisku i Pruszkowie. W tych miejscowościach zaopatrywano się także w lekarstwa i żywność. Dowodził tym płk Ludwik Żychliński – naczelnik wojskowy na powiat warszawski i rawski. Zorganizował on tajną siatkę pracowników Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w tym grupę urzędników, zawiadowców stacji oraz kilku telegrafistów. Na przykład, na dworcu w Grodzisku, pracował telegrafista z Brwinowa o nazwisku Znajewski. Jego zadaniem był odbiór i nadawanie zaszyfrowanych rozkazów naczelnika powstania Romualda Traugutta, a potem Rządu Narodowego.

W końcu lipca 1863 roku pułkownik Żychliński zaopatrzył swój oddział w doskonałą broń, którą odebrano w okolicy stacji kolejowej w Pruszkowie. Było to 45 sztucerów amerykańskich i ponad 100 sztuk pistoletów i rewolwerów typu colt oraz kilka skrzynek amunicji.

7 sierpnia 1863 roku pułkownik wydał rozkaz sprowadzenia kolejnego transportu broni, tym razem spod Grodziska. W tym celu wysłał z Kampinosu swój najlepszy szwadron liczący około 120 kawalerzystów pod dowództwem rotmistrza Pawła Gąssowskiego. Niestety, przejęcie broni nie udało się, bowiem szwadron został wcześniej wykryty niedaleko Błonia i zaatakowany przez kilka sotni kozackich. Tego samego dnia wieczorem doszło do krwawej potyczki pod Milanówkiem, gdzie szwadron Gąssowskiego, co prawda wyciął pół sotni kozackiej, ale sam poniósł ciężkie straty i musiał się wycofać.

Po tej bitwie powstańcy zapadli w lasach Młochowskich na kilka dni. Ukrywali się między innymi w leśniczówce za Otrębusami, gdzie po opatrzeniu ran i jako takim wypoczynku ruszyli w kierunku Góry Kalwarii z zamiarem przeprowadzenia się na drugą stronę Wisły. Niestety, tym razem nie obyło się także bez przygody – jakaś sotnia kozacka wytropiła ich po drodze i otoczyła pod Tarczynem. Rotmistrz Gąssowski nie dał się łatwo podejść. Jego oddział zaatakował jako pierwszy i w brawurowej szarży wyrębał pałaszami przejście kładąc trupem ponad dwudziestu Rosjan przy małych stratach własnych.

W październiku 1863 roku płk Żychliński, pomimo zbliżającego się upadku powstania, podjął desperacką próbę jednoczesnego zaatakowania czterech stacji kolejowych w Radziwiłłowie, Rudzie Guzowskiej (Żyrardów), Grodzisku i w Pruszkowie. Oto unikalna relacja anonimowego uczestnika tej wyprawy:

Przybyliśmy pod Grodzisk o 12 w nocy. Cicho i w porządku przejechaliśmy miasteczko i zbliżyliśmy się pod dom, w którym stali kwaterą kozacy. Kozak stojący na warcie przed domem, nie spodziewając się nas, a przeciwnie myśląc, że to jakiś oddział moskiewski zapytał – kto idut? Porucznik Smoliński odpowiedział: – swój, i wystrzałem z rewolweru powalił kozaka na ziemię. Na odgłos strzału, warty stojące przy szosie kolejowej i koło koszar, odpowiedziały strzałami. Nasi zabili kilku kozaków wracających z szynków i karczem. Porucznik obawiając się ataku piechoty dał

hasło do odwrotu i wyszedłszy z miasteczka, pomaszerowaliśmy drogą przez Radonie i Książenice do Młochowa, gdzie dotarliśmy skoro świt.

W Młochowie doszło do walki z kozakami stacjonującymi w miejscowym dworze. Kozacy ponieśli duże straty i tylko części udało się zbiec w kierunku Grodziska. Po tej akcji pułkownik Żychliński, obawiając się nieuniknionego nadejścia rosyjskiej odsieczy, zebrał wszystkie okoliczne oddziały i pomaszerował nad Pilicę, gdzie ukrył się wraz z oddziałem w pobliskich lasach.

Zima 1863/64 była dla powstańców kolejnym utrapieniem. Najdłużej trzymał się oddział porucznika Sokołowskiego „Pioruna”, który doprowadził 60 konnych strzelców aż pod Sochaczew. Jednak 25 lutego 1864 roku doszło tam do krwawej potyczki pod Kurchanowem, podczas której kozacy rozbili doszczętnie cały oddział Sokołowskiego. Jeszcze w kwietniu, pod miejscowością Czarny Las, wpadło w rosyjskie ręce pięciu niedobitków z tego oddziału. 15 czerwca 1864 roku jakiś nieznany oddział powstańczy stoczył potyczkę pod Piasecznem. Być może, były to resztki konnicy rotmistrza Gąssowskiego, który usiłował przebić się na północ. Rotmistrz Gąssowski przeżył powstanie. Zmarł na wygnaniu w 1898 roku w wieku 58 lat.

Tymczasem carscy naczelnicy wojenni otrzymawszy nadzwyczajne pełnomocnictwa, wprost szaleli ścigając powstańców po terenie całego zaboru. Przy wszystkich oddziałach wojskowych utworzono sądy polowe, które z marszu wydawały wyroki śmierci przez rozstrzelanie, albo przez powieszenie. Zapadały one przede wszystkim w stosunku do byłych oficerów i podoficerów służących wcześniej w armii carskiej. Czasami, w drodze łaski, kary te zamieniano na 15 – 20 lat ciężkich robót w syberyjskich kopalniach węgla, albo na więzienie w uralskich twierdzach. Łagodniejszą formą było zesłanie na wiele lat do syberyjskich chutorów. Niekiedy stosowano karę pieniężną, albo wzięcie pod nadzór policyjny. Ważne osobistości wysyłano od razu do Warszawy i osa-

dzano w X pawilonie Cytadeli. Dochodzenia w sprawie udziału Polaków w Powstaniu Styczniowym prowadzone były przez wiele lat po jego upadku.

Na brwinowskim cmentarzu znajduje się obecnie osiem grobów powstańczych. Dawniej było ich prawdopodobnie znacznie więcej, lecz czas zatarł wszelkie ślady.

Oto zachowane groby powstańców styczniowych: Wilhelm Meisner ur. 5. XI. 1842 – zm. 25. I. 1911, Wiktor Ulatowski ur. 1841 – zm. 26. VIII. 1924, Jan Dębski żył lat 75 zm. 16. I. 1920, Zdzisław Bychowiec żył lat 83 zm. 9. XI. 1923, Ludwik Rozwadowski żył lat 69 zm. 2. III. 1912, Andrzej Arciechowski zmarł w Drohiczyźnie – grób symboliczny, Michał Brodzki żył lat 92 zm. 23. V. 1932, Stanisław Siedlecki żył lat 82 zm. 12. II. 1928 r.

W okolicach kaplicy był jeszcze przed wojną grób szlachcica Cypriana Januszewskiego z Brwinowa, skazanego w Kielcach za udział w powstaniu na 17 miesięcy, lecz tego grobu również nie ma. Przed wojną stał przy polnej drodze między Helenowem a Parzniewem, stary, dębowy krzyż powstańczy. Poświęcony był pamięci tutejszemu ogrodnikowi, szlachcicowi Arkuszewskiemu, uczestnikowi powstania, który nigdy nie wrócił do domu. Niestety, i krzyż i symboliczna mogiła również zniknęły.

Czas jest nieubłagany i skutecznie zaciera wszelkie ślady po naszych bohaterskich przodkach. Czasami jednak zdarza się, że dzięki różnym przekazom, zapiskom i kronikom rodzinnym pozostają po nich trwałe ślady. Tak się stało w brwinowskiej rodzinie państwa Siedleckich. Wnuczka Stanisława Siedleckiego, pani Ludwika z Siedleckich Włochowa, nauczycielka i mieszkanka Brwinowa przekazała potomnym następującą relację:

Mój dziadek Stanisław Siedlecki urodził się w roku 1844 na Podolu, w Wachnówku- Kanikach. Ojciec jego, szlachcic zaściankowy, nie musiał być bogatym człowiekiem, ponieważ nieraz słyszałam, że dziadek ze starszym bratem Feliksem (również naszym dziadkiem, tylko ze strony ojca), mieli do wspólki tylko jedną parę butów z cholewami. W zimie, kiedy jeden ganiał w butach

po dworze, drugi, bosi, grzał się w kuchni na kufrze zasłanym kożuchem.

Skromne warunki materialne nie wpłynęły jednak ujemnie na rozwój fizyczny dziadka, przeciwnie, wyrósł jak dąb, a i siłę miał nielichą.

Pamiętam, kiedy po śmierci Dziadunia i po jego pogrzebie zebrała się w Brwinowie u naszej mamy cała rodzina i zaczęli wspominać, jak to jest we zwyczaju, to i owo z długiego życia dziadka – wujaszek Stach podsumował wszystkie mowy krótko a treściwie: – Wiecie, kto to był Dziadunio? To był Wyrwidąb i Waligóra w jednej osobie.

Dziadek w Powstaniu Styczniowym pełnił funkcję łącznika-kuriera. Powstańcze organizacje wojskowe zostały dokładniej określone przez Instrukcję Rządu Narodowego w dniu 16 czerwca 1863 roku. Naznaczała ona na każde województwo naczelnika wojskowego i organizatora sił zbrojnych. Ten ostatni dobierał organizatorów prowincjonalnych, ci zaś okręgowych.

Siła zbrojna powstania dzieliła się na właściwe wojsko, podzielone na bataliony piechoty, szwadrony jazdy i oddziały partyzantów pieszych i konnych. Instrukcja z 19 czerwca 1863 roku nakazywała ażeby: „Oddziały partyzantów były używane w granicach okręgu do alarmowania o nieprzyjacielu, do przecinania mu dowozu żywności, do niszczenia patrolów, zabierania lub palenia jego magazynów, parków artylerii, szpitali, do niszczenia małych, nieprzyjacielskich komend, chwytania kurierów, korespondencji i szpiegów, niszczenia komunikacji i telegrafów, zbierania wiadomości o miejscach pobytu, liczbie, jakości broni i ruchach nieprzyjaciela, służenia za przewodników w granicach okręgu i w razie potrzeby dawanie pomocy władzom cywilnym”.

Skoro wojsko przybywało do jakiegoś okręgu, partyzanci miejscowi łączyli się z nimi. Odbywali razem wszelkie wyprawy na nieprzyjaciela – towarzyszyli, oświecając wszelkie jego ruchy, lub napadając sami, albo z pomocą ludności okolicznej na boki, lub tyły nieprzyjaciela. Możemy sobie teraz mniej więcej wyobrazić,

na podstawie powyższej instrukcji naszego Dziadunia, jak śmigał na swojej lotnej kasztance z rozkazami i wiadomościami, przez lasy i pola.

Po upadku powstania odsiedział rok więzienia, potem odbył trzy lata katorgi (okolice Wiatki), a na koniec został osiedlony w Kostromskiej Guberni na tak zwane „posielenie”.

Tam ożenił się z panną Józefą Przedpelską, a w roku 1871 urodził mu się syn Gotfryd w miejscowości Romancewo. Warunki materialne mieli ciężkie i dziadek chwytał się każdej roboty, byle przeżyć. Przypadek zdarzył, że trafił na służbę do księcia Golicyna. Otóż pewnego razu splawiano Wołgą drzewo. Był tęgi mróz. Dziadunio stał na brzegu rzeki i patrzył na gromadę pracujących przy tym ludzi po prostu jako widz. Ponieważ robota szła niezdarnie, a dziadek był urodzonym wodzem, więc po chwili nie wytrzymał i zaczął komenderować: – „Ty rób tak, a ty tak”. Jakiś starszy, który dozorował prace odezwał się wreszcie: – „A ty taki mądry, to pokaż sam”. Takiego zapraszania nie trzeba było powtarzać. Dziadek skoczył między pracujących, a że „dzieło mistrza słucha”, więc robota ruszyła. Wieczorem dostał zapracowaną dniówkę i angaż do pracy.

Służba u księcia Golicyna była materialnie korzystnym okresem w życiu dziadków. Mieli zapewniony stały dochód. Książę cenił sobie zdolnego, rzetelnego pracownika i starał mu się to okazać. Dziadunio awansował stopniowo i został zarządzającym majątkiem księcia. Więc administrował, organizował polowania, układał sokoły.

Kiedyś odchowal dwa niedźwiadki (straciły matkę w czasie polowania) i przyuczył je do wożenia wody beczkowozem do użytku w kuchni. Mocował się z nimi dla zabawy. Kiedy wyrosły oddał je do zoo.

Jednakże, kiedy dzieci zaczęły podraastać (Gotfryd był od dawna na stacji), trzeba było zatroszczyć się o naukę dla nich, a że okres przymusowego oddalenia od kraju minął, dziadkowie prze-

*nieśli się w okolice Mirhorodu (dziś Ukraina Zachodnia) na małą
dzierżawę Futorek. O tym Futorku słyszeliśmy przez całe dzieciń-
stwo od naszych starszych, samo najlepsze. Warunki materialne
na pewno były skromne, ale ludzie, którzy tam przebywali byli
ludźmi na wysokim poziomie moralnym i kulturalnym. Starsi, któ-
rzy pracowali i wychowywali swoją gromadkę dali im przykład
swoim trudnym życiem, ale wg wytyczonych ideałów – młodszy
kwalifikowali się dopiero do swego życia. Zatem gromadzili wiedzę, dys-
putowali, czytali, marzyli, budowali zamki na lodzie. Na wakacje
zjeżdżali się na Futorek z koleżeństwem ze szkół i uczelni, tak że
gwaro tam było i wesoło, bo były też tańce i śpiewy, żarty i we-
sola. Nie było tylko na pewno bezmyślnej pustoty.*

*Dziaduniowie mieli dzieci sześcioro. Najpierw szli synowie:
Gotfryd, Stanisław, Ludwik, i córki: Wanda, Józefa i Jadwiga.
Gotfryd – przyrodnik, ukończył z wyróżnieniem Akademię Rol-
niczą w Puławach, Stanisław – oddany społecznik, członek PPS
i członek tajnej bojówki PSP. Ludwik – ludowiec, literat, pisał
w języku ukraińskim. Studiował architekturę na Uniwersytecie we
Lwowie. Wanda – lekarz medycyny. Akademię medyczną ukończy-
ła w Zurychu. Józefa – nauczycielka. Przez dwa lata studiowała
przyrodę na Uniwersytecie we Lwowie. Jadwiga – najmłodsza,
wyszła za mąż mając lat 16. Mąż jej, inżynier Marian Wileżyński,
pierwszy w Polsce wprowadził korzystanie z gazu ziemnego.*

I to koniec rodzinnego zapisu, jednak trawiony ludzką
ciekawością zapytałem, jak to się stało, że Stanisław Siedlecki,
człowiek w sile wieku, bowiem na początku dwudziestego stule-
cia miał ponad 60 lat przybył wraz z rodziną z dalekiej Ukrainy
i osiedlił się właśnie tu, w Brwinowie? Okazało się, że bezpo-
średnich przyczyn rodzina nie zna, lecz domyśla się, że po wielu
latach cierpień, tęsknoty i oczekiwań (wspomniane „posielenie”),
były uczestnik Powstania Styczniowego uzyskał wreszcie prawo
do emigracji i wrócił do swojej ojczyzny.

Pragnę przytoczyć jeszcze wyjątek z opracowania pana Tadeusza Jarosa „Idź i czyn” wydane go dla uczczenia 150 rocznicy wybuchu powstania.

W jego pracy znajdziemy potwierdzenie wiadomości podanych przez pana Grzegorza Przybysza, ale dowiemy się też o innych ważnych zdarzeniach tego interesującego nas okresu.

Tadeusz Jaros

Przewodniczący Kręgu Szarych Szeregów im Aleksandra Kamińskiego

Pamięć narodowa o Powstaniu Styczniowym 1863 r. w Pruszkowie

W Pruszkowie pamięcią narodową ogarniamy niewielką ilość wydarzeń i obiektów mówiących o powstaniu styczniowym 1863 r.

Zapis historyczny, w którym wymieniony jest Pruszków, jako miejsce powstańczych działań zbrojnych, zawarty jest w niewielkiej książeczce pt. „O kobietach żołnierzach w powstaniu styczniowym”, autorstwa Marii Złotorzyckiej. Opis tych działań w streszczeniu:

W maju 1863 r. w Puszczy Kampinoskiej uformował się oddział powstańczy „Dzieci Warszawy”. Dowódcą został Ludwik Żychliński. Był to duży oddział, składający się z 300 strzelców w granatowych mundurach z amarantowymi wyłogami, z 600 kosynierów, 200 żuawów i 200 ludzi nieuzbrojonych, ale gotowych do walki oraz 30 koni.

„Dzieci Warszawy” przyjęły chrzest bojowy na polu zwycięskiej bitwy pod Ossowem. W dniu 16 lipca powstańcy, po walce z przeważającymi siłami wroga, ponieśli klęskę.

Żychliński przebił się do powiatu warszawskiego i zreorganizował oddział. Wkrótce liczył on 300 strzelców uzbrojonych w sztucery i 400 kosynierów.

W dniu 1 listopada jednocześnie zaatakował stacje kolejowe: Rudę Guzowską, Radziwiłłów, Grodzisk, Pruszków – zdobył broń. W grudniu Żychliński został wzięty do niewoli i osadzony w Cytadeli. Próba odbicia go nie udała się.

Obiektami pamięci są mogiły i groby powstańcze. W Pruszkowie pamięć o mogile powstańczej z 1863 roku istniała już „w latach niewoli, przed pierwszą wojną światową” i w latach II Rzeczypospolitej. Pisał o tym Henryk Krzyczkowski w Przeglądzie Pruszkowskim w zeszycie nr 2/1994 w artykule „Powstańcza mogiła pod Helenowem”

W artykule tym czytamy:

(...) na zdjęciu z lat dwudziestych widać było niewielką mogiłę z dość prymitywnym, niskim ogrodzeniem i z wysokim, drewnianym krzyżem. Na krzyżu wyryta była dobrze widoczna data: 1863.

Ta zarośnięta i dość zaniedbana mogiła znajdowała się na skraju pola, w pobliżu szerokiej, piaszczystej drogi prowadzącej z Helenowa do Parzniewa, w odległości kilkuset metrów od wiatraka, stojącego na małym wzniesieniu. W moich harcerskich latach wiele razy słuchałem opowieści o „mogile powstańców” jak to w latach niewoli przed pierwszą wojną światową patriotyczna młodzież Pruszkowa, w sposób konspiracyjny, ukrywając się przed konfidentami, wysyłanymi przez naczelników straży ziemskiej, złośliwego Rosjanina, Gryba (...), porządkowała tę mogiłę i składała na niej wiązanki kwiatów.

Moje pokolenie, przede wszystkim harcerze z drużyny im. Stefana Czarnieckiego, wychowane na takich właśnie opowiadaniach, w latach dwudziestych, każdego roku przed Zaduszkami, porządkowało to miejsce, okopując niewielkie, ziemne wzniesienie, okładając je darnią, usuwając powiędłe kwiaty i suche liście.

Wysoki krzyż trzymał się wtedy dobrze. Był prawdopodobnie wzniesiony po ucieczce Rosjan w 1915 roku. Rosjanie nie zezwoliliby na takie oznaczenie grobu „mateżników”, „bandytów z jakiejś szajki”, jak carskie gazety nazywały powstańców.(...)

Mogiła ta została zlikwidowana we wrześniu 1939 roku, gdy Niemcy przystąpili do budowy polowego lotniska, skąd startowały samoloty bombardujące Warszawę.

Oprócz tej nie istniejącej mogiły na cmentarzach parafialnych w Żbikowie i Pruszkowie znajdują się groby powstańców z 1863 roku.

Na cmentarzu Żbikowskim zachowały się dwa groby z napisami nagrobnymi:

Ś+P
JAN
ROSENBERG
UCZESTNIK 1863 R
GORLIWY KATOLIK
ZM. 10.II.1910 R
ZACNEMU CZŁOWIEKOWI
I DOBREMU MĘŻOWI I OJCU
STROSKANA ŻONA I CÓRKA
TĘ PAMIĄTKĘ STAWIA
PROSZĄC O ZDROWAŚ MARIA

Ś+P
JULIAN
BORKOWSKI
POWSTANIEC 1863 – SYBIRAK
ŻYŁ LAT 73
ZMARŁ DN.20,X.1917 R.

Na cmentarzu w Pruszkowie, na istniejących grobach, napisy nagrobne mają następującą treść:

Ś+P
KAROL
KINTOP
WETERAN 63 R
ŻYŁ LAT 79
ZMARŁ 10 KWIETNIA 1922 R

Ś+P
KAROL MAZURKIEWICZ
WETERAN 1863 R
ŻYŁ LAT 84
ZMARŁ 26. IV. 1929 R.

O trzech powstańcach, pochowanych na naszych cmentarzach, nie mamy żadnych wiadomości. Znamy tylko fakty z życia Juliana Borkowskiego pseudonim „Józef” – Urodził się on w 1842 roku. Uczęszczał do Żytomierskiego Gubernialnego Gumnazjum, które ukończył z wyróżnieniem (medal). Studiował w Szkole Głównej w Warszawie. W czerwcu 1863 roku wstąpił do oddziału powstańczego i walczył pod dowództwem Mariana Langiewicza, następnie walczył w oddziale Karola Kalety „Rębajły”

Po ataku na wojska rosyjskie w Iłży został aresztowany, więziony w Cytadeli, został skazany na śmierć – wyrok złagodzone – karę śmierci zamieniono na katorgę na Syberii. Po ucieczce z katorgi i powrocie do kraju pracował w różnych majątkach jako rządca oraz dzierżawca, w końcu został właścicielem folwarku.

W 1910 roku osiedlił się w Żbikowie, gdzie prowadził siedmiohektarowe gospodarstwo ogrodnicze.

W styczniu 1913 roku w Żbikowskiej siedzibie Juliana Borkowskiego odbył się zjazd powstańców 1863 roku, na który przybyli:

Walenty Adamski
Antoni Bohatyrowicz
Julian Borkowski
Eugeniusz Borkowski
Paweł Borkowski
Stefan Brykczyński
Scholastyka Mackiewicz
Aleksander Ogórski
Franciszek Rzewuski
Zygmunt Saski
Jan Szuber – kurier Rządu Narodowego
Mamert Wandelli
Lucyna Żukowska Juskiewiczowa – córka Romualda
Traugutta

Julian Borkowski zmarł nagle w 1917 roku.

Jan Cierliński, żołnierz AK, jest twórcą pięknej akcji „Rajd Szlakiem Naszej Historii”. Rajd odbywa się na terenie VI Rejonu „Helenów” AK.

XXVIII Rajd Szlakiem Naszej Historii odbył się w kwietniu (20.04) – Miejsiacu Pamięci Narodowej; Jak zwykle brało w nim kilka tysięcy młodzieży i dorosłych. W Pruszkowie z obsługą naliczyliśmy 1350 uczestników.

Dziękujemy wszystkim!

Jego twórcy nie było już wśród nas. Kolegę Janka pożegnaliśmy 15 grudnia 2012 roku. Zmarł nagle – dwa tygodnie przed śmiercią został odznaczony Medalem za zasługi dla Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Prezes Okręgu kol. Janusz Orsik, wręczając Jankowi medal podkreślił jego zasługi dla ŚZZAK oraz dla wychowania patriotycznego młodzieży.

Poniżej drukujemy jego ostatni artykuł – sprawozdanie z XXVII rajdu.

Jan Cierliński

Prezes Koła nr 6 „Helenów” ŚZZAK

Członek Zarządu Okręgu Warszawa-Powiat

Ogólna charakterystyka i ocena XXVII Rajdu „Szlakiem Naszej Historii” zorganizowanego w dniu 21 kwietnia 2012 roku

XXVII Rajd „Szlakiem Naszej Historii” był kontynuacją rajdów historyczno-patriotycznych, przypominających najważniejsze wydarzenia XX wieku. W związku z przypadającą w tym roku 70 rocznicą scalenia wszystkich konspiracyjnych jednostek wojskowych w Kraju w Armię Krajową tegoroczny Rajd odbył się pod hasłem : „ARMIA KRAJOWA – PODZIEMNYMI SIŁAMI ZBROJNYMI W STRUKTURACH POLSKIEGO PAŃSTWA

PODZIEMNEGO”. Dla uczczenia tej rocznicy oddaliśmy należny hołd największemu Bohaterowi Cichego Frontu inż. Zdzisławowi Maszewskiemu, który od sierpnia 1939 roku był pracownikiem P.Z. Inż. „URSUS”. Młody, 25-letni wówczas inżynier, znający biegle język niemiecki, był działaczem Wywiadu Komendy Głównej ZWZ. W roku 1941 został szefem Placówki Wrocławskiej Grupy Wywiadu Ofensywnego Komendy Głównej ZWZ – AK „Stragan”. Jego raporty na temat nowych niemieckich technologii trafiały do Londynu. Swoje młode życie poświęcił w walce z niemieckim najeźdźcą. Trzy lata ciężkiej pracy szpiegowsko – wywiadowczej przeplacił życiem. Został stracony w więzieniu w Brandenburgu 11 września 1944 roku.

Miejscem Pamięci nr 6 naszego Rajdu jest pomnik poświęcony wszystkim pracownikom nieistniejącego już Zakładu Mech. „Ursus”, poległym w latach 1939 – 1945. Na pomniku umieszczono 117 nazwisk.

Rajdem w tym roku objęto 108 miejsc zarejestrowanych na terenie dzielnic: Ursus i Włochy m.st. Warszawy oraz gmin i miast: Pruszków, Piastów, Ożarów Mazowiecki, Lesznowola, Raszyn i Stare Babice. Gmina Stare Babice dołączyła do naszego Rajdu trzy lata temu.

Na tegoroczny Rajd opracowano 150 tras pieszych i 75 rowerowych, dostosowanych do wieku uczestników. Brała w nim udział młodzież z 70 szkół i innych ośrodków wychowawczych. W związku z tym, że rajdem interesują się całe rodziny, od trzech lat dopuściliśmy do startu tzw. Patrole rodzinne, które tworzą samodzielne jednostki pozaszkolne.

Do ostatniego Rajdu w 2012 r. otrzymaliśmy zgłoszenia od 4593 osób (młodzież) oraz 699 opiekunów i 405 osób obsługi – wystartowało 4110 dzieci i młodzieży, 688 rodziców i opiekunów. Dużą grupę, bo 423 osoby, stanowili ci, którzy obsługiwa-

li miejsca pamięci i miejsca startu. W tej liczbie 80% stanowili uczniowie szkół ponadpodstawowych i harcerze, 14% stanowili nauczyciele, pozostałe 6% – to kombatan ci lub osoby starsze, związane z danym terenem (minęły czasy, kiedy wszystkie punkty obsadzane były przez kombatan tów – szczęśliwi jesteśmy, że mamy młodych następców i za to im dziękujemy).

W tym roku zorganizowanych było 13 miejsc startowych: trzy w Ursusie, jedno we Włochach, jedno na Okęciu, dwa w Piastowie, jedno w Pruszkowie, jedno w Magdalence, jedno w Ożarowie, jedno w Raszynie, jedno w Koczargach i jedno w Starych Bubicach.

W czasie tych marszów odżywa cała prawda historyczna, odżywają pomniki, odżywają ludzie, którzy swoje życie poświęcili, by Ojczyzna była wolna. Na tę wędrówkę idziemy, aby oddać hołd nie tylko poległym i pomordowanym bohaterom, ale również wszystkim prześladowanym i poniżanym rodakom. Pragniemy, by młodzież wiedziała o bohaterach z miejscowości, w których żyje, by uczyła się od nich miłości do Boga, Ojczyzny i poczucia obowiązku wobec bliźnich.

Rajd jest jednak nie tylko nauką historii – jest to przecież impreza turystyczno- sportowa. Przy trasach pieszych długość drogi do przebycia wynosi, w zależności od wieku uczestników, od 5 do 15 km, zaś przy trasach rowerowych – od 14 do 35 km. Czas, w którym grupa ma odwiedzić 4 wyznaczone punkty, wynosi pięć godzin.

Rajd w początkowym okresie był przeznaczony dla młodzieży starszej z klas siódmych i ósmych szkół podstawowych i ze wszystkich klas licealnych. Obecnie obejmuje on uczniów ze wszystkich klas od zerówek do ostatniej klasy licealnej. W Pruszkowie w rajdzie biorą grupy dzieci z przedszkola. Rola młodzieży w tej imprezie uległa ostatnio zmianie. W związku z tym, że część kombatan tów nie jest w stanie pełnić dyżuru przy miejscach

pamięci, zastępuje ich młodzież. Ta wielka lekcja patriotyzmu prowadzona dla młodzieży od dwudziestu sześciu lat, mimo wielu pogodowych niespodzianek, daje nam wiele satysfakcji.

Tym razem, zarówno pogoda, jak i warunki organizacyjne, dopisały na piątkę. Po raz pierwszy ilość wszystkich uczestników Rajdu przekroczyła 5.000 osób. Jest to wielka satysfakcja dla wszystkich organizatorów. Powodzenie całej imprezy zawdzięczamy przede wszystkim wychowawcom, opiekunom i rodzicom, którzy przygotowują młodzież do udziału w rajdzie oraz samej młodzieży, która jest zainteresowana uzupełnieniem swojej wiedzy o wydarzenia historyczne z XX wieku.

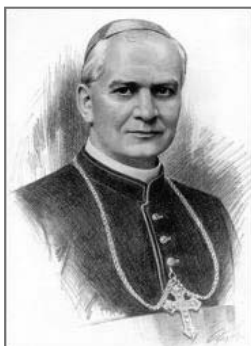
Jesteśmy wdzięczni wszystkim, którzy udzielają nam pomocy organizacyjnej i programowej, a szczególnie młodzieży, która przejmie obowiązki obsługi instruktorskiej. Wyrazy szacunku i podziękowania składamy już nielicznemu gronu kombatanów, którzy towarzyszą młodzieży przy miejscach pamięci dla uświetnienia rangi całej imprezy.

Od wielu lat większość obowiązków organizacyjnych przejęły tzw. Zespoły Terenowe Rajdu, którym przewodniczą: Wydziały Oświaty, Kultury lub Sportu Dzielnic i Gmin, Gminne Ośrodki Kultury, Dyrekcje Szkół oraz organizacje harcerskie ZHP.

Trudno byłoby zorganizować tak wielką imprezę, gdybyśmy nie mieli pomocy z wymienionych instytucji, które przejmują na siebie wiele obowiązków.



Zgromadzenie Sióstr Służebnic Jezusa w Eucharystii



Zgromadzenie zakonne, habitowe, założone w 1923 r. przez bł. Arcybiskupa Jerzego Matulewicza 1871-1927, ordynariusza diecezji wileńskiej /1918-1925/, przewidziane głównie dla potrzeb diecezji; w celu szerzenia oświaty religijnej i podniesienia poziomu religijnego miejscowej, głównie białoruskiej ludności. Siostry miały też prowadzić pracę misyjną wśród licznych na tym terenie prawosławnych. Dekret erekcyjny został wydany 23 kwietnia 1924 r. W języku łacińskim pełna nazwa Zgromadzenia brzmi: **Congregatio Sororum Ancillarum Jesu in Eucharistia**, skrót **SJE**

Celem Zgromadzenia według Konstytucji jest nauczanie życia chrześcijańskiego i wychowywanie według zasad wiary katolickiej dzieci i młodzieży, szerzenie ducha nauki Chrystusowej i rozwijanie w każdym środowisku życia sakramentalnego, zwłaszcza eucharystycznego. Działalność apostolska skupia się na wypełnianiu tych zadań, głównie poprzez katechizację, zgodnie z duchem Założyciela i aktualnymi potrzebami Kościoła. Duchowość zgromadzenia jest wybitnie eucharystyczna. Konstytucje postanawiają:

„Ośrodkiem życia duchowego oraz działalności apostolskiej całej wspólnoty i poszczególnych członkiń jest Jezus Chrystus w tajemnicy Eucharystii. Siostry starają się stale coraz lepiej

Go poznawać, naśladować i miłować, żyjąc na co dzień Jego duchem”.

Zgromadzenie zaczęło się formować na Wileńszczyźnie, na terenie dzisiejszej Białorusi, w małym miasteczku Druja, nad granicą łotewską. Początkowo siostry pracowały w miejscowym gimnazjum polskim Księży Marianów, prowadziły szkołę krawiecką dla dziewcząt, internat, pracownię tkacką i trykotarską, przytułek, zespoły parafialne, indywidualną katechizację (przygotowanie do sakramentów św.), opiekowały się stowarzyszeniami młodzieżowymi, prowadziły gospodarstwo domowe u księży Marianów.



Po zakończeniu II wojny światowej i nowym ustaleniu granic państwa polskiego, zarząd Zgromadzenia zdecydował o wysłaniu części sióstr do Polski, gdyż dotychczasowe 4 placówki znalazły się poza jej granicami. Pozostałe przeżyły lata ciężkich doświadczeń: wypędzenia z domu macierzystego, tułaczki, nadmiernej pracy, głodu i chłodu. Oficjalnie nie istniały



– otrzymały nakaz rozejścia się. W ukryciu jednak prowadziły życie zakonne w małych wspólnotach, katechizowały, przygotowywały do sakramentów, wspierały kapłanów podczas ich uwięzienia, wysyłając im paczki, później opiekowały się nimi w chorobie, prowadziły gospodarstwa, troszczyły się o kościoły. W środowiskach pracy dawały świadectwo wiary, uczciwości, obowiązkowości i poświęcenia w służbie bliźnim, w szpitalach, gdzie pracowały, chrzcili umierające dzieci, a dorosłym umożliwiały kontakt z kapłanem.

W granicach obecnej Polski siostry po 1945 r. prowadziły początkowo sierociniec i przedszkole, gospodarstwo księży i katechizację. Ze względu na uniemożliwienie prowadzenia własnej działalności statutowej, działalność sióstr przyjęła z czasem model służby pomocniczej wobec duszpasterskiej pracy kapłanów w parafiach. Zatwierdzenie Stolicy Apostolskiej zgromadzenie uzyskało 15 sierpnia 1983 r.

Obecnie Zgromadzenie posiada:

- 10 placówek na terenie Polski,
- 1 placówkę w Niemczech,
- 1 na Ukrainie Delegaturę Litewsko-Białoruską:
- 2 domy na Litwie
- 6 domów na Białorusi
- Delegaturę Rosyjsko-Kazachstańską
- 3 domy w Kazachstanie
- 6 domów w Rosji

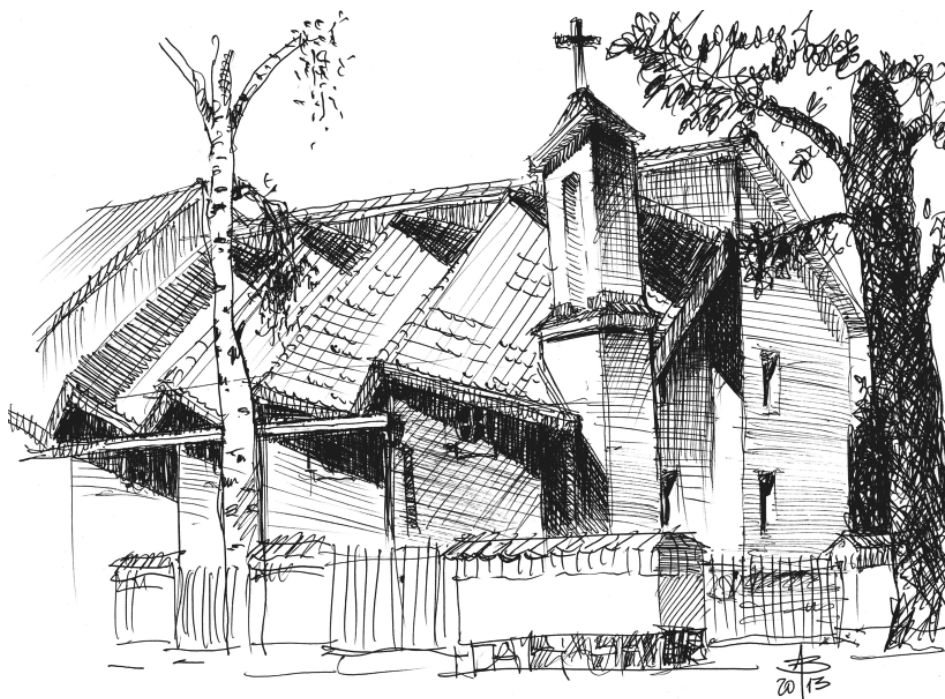
Od redakcji

Do Pruszkowa siostry przybyły w roku 1966 roku.

Widzimy je wszędzie. W kościołach, w szkołach. Są zawsze radosne, mile, chętne do pomocy. Z wieloma z nich spotykałam się częściej – siostra Zofia uczyła moje dzieci, siostra Łucja dbała o kościół, siostra Agata prowadziła

chór i grała na organach, z siostrą Sabiną często ucinaliśmy sobie „pogaduszki”, teraz w zakrystii spotykamy siostrę Elwirę, na chórze królują: siostra Barbara i siostra Kristina (siostra Kristina prowadzi chór dzieci „Wiolinki”) – trudno wymienić wszystkie „dobre duchy” parafii... dziękujemy za ich pracę, za dobroć, za uśmiech...

Generalną matką przełożoną jest siostra Małgorzata Wawryk, a przełożoną wspólnoty w Pruszkowie siostra Halina Sklepowska.



Sławomir Łubiński urodził się w Warszawie w 1934 roku, świadectwo dojrzałości otrzymał w roku 1953 w liceum ogólnokształcącym im. Tomasza Zana w Pruszkowie.

Podjął studia na filologii polskiej – niestety, nie ukończył ich. Pisanie jednak było i jest jego pasją.

Pełniąc służbę w wojsku zadebiutował w roku 1956, drukując swoje wiersze w gazecie Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Wiersze jego ukazywały się w pismach, między innymi w Almanachu Młodych. W roku 1979 w Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazała się jego powieść „Ballada o Januszką”. Autor dokonał scenicznej adaptacji książki. Adaptacja ta doczekała się ponad stu przedstawień, w rolach głównych grali: Ryszarda Hanin i Henryk Talar. Książka doczekała się nie tylko pięciu wydań w Polsce, ale przetłumaczona została na pięć języków. W oparciu o „Balladę o Januszką” powstał ośmiogodzinny serial TV w reżyserii Henryka Bielskiego. Główną bohaterkę zagrała znakomita aktorka rosyjska Lidia Fiedosiejewa-Szukszyńska – za tę rolę przyznano jej w roku 1988 Złoty Ekran.

W roku 1984 ukazała się w nakładem PIW kolejna powieść „Profesjonaliści” – w 2005 roku w Wydawnictwie Adam Marszałek wyszła powieść pt. „Jak kulawy ze ślepą”.

Jest autorem sztuki „Zwykły dzień pewnego lata” (prapremiera w 1988 r. w Teatrze Wybrzeża).

Sławek jest autorem scenariuszy do filmów dokumentalnych i do telewizyjnego filmu fabularnego „Z soboty na poniedziałek”.

Ostatni tomik jego wierszy to „Przeleciał czarny ptak”

Jest autorem wielu krótkich opowiadań. Jedno z nich, ostatnio napisane, drukujemy poniżej.

Sławomir Łubiński

Przyszło nas tu czterech

Podeszliśmy na kilkadziesiąt metrów do Grubej Berty i stop, bo dalej nie było można i były już pola. Przed nami połyskiwały szyny, po których – poza transportami wojskowymi oraz zesta-

wem potężnych lor z umieszczonym na nich tym ogromnym, kolejowym działem – nie jeździły już dalekobieżne pociągi. Wzdłuż torów, oddzielone wysypaną żużlem drogą, ciągnęły się domy i domki oraz ogrody. Dzień, choć słoneczny, był dosyć chłodny. W nocy padał deszcz, nad ranem spadł grad, który długo, aż do białego dnia, topniał w przeróżnych zakamarkach.

Przyszło nas tutaj czterech. Leon, Szczurzy Pysk, ja i Grzesiek, zwany Gipsowym. Grzesiek jest starszy od nas. Do niedawna handlował ołowianymi żołnierzami, które sam odlewał w gipsowych formach. Siadamy pod płotem, tuż za rogiem poprzecznej ulicy. Miejsca jest dosyć, załoga Berty nie widzi nas, my natomiast w każdej chwili możemy ich obserwować. Gipsowy chce grać w karty ale żaden z nas nie ma pieniędzy. Dobrze więc, że Leon wziął ten duży scyzoryk, który ukradł Niemcom. Gipsowy jest wyraźnie zirytowany i nie może być inny, gdyż wszystko co robi, chce robić za pieniądze. Jest drobny, piegowaty, wiecznie niedomyty i na pierwszy rzut oka, wcale się od nas nie różni. Głos też ma ciągle chłopięcy i czasem tylko z jego gardła wydobywa się chrypliwy bas. Ojciec Gipsowego zginął w Oświęcimiu wywieziony jednym z pierwszych transportów. Gipsowy ma dwoje rodzeństwa, niezbyt zdrową matkę, która zajmuje się szmuglem. Jeszcze więcej rodzeństwa, bo aż czworo, ma Szczurzy Pysk. Jego ojciec żyje, a cała rodzina gnieździ się w jednej izbie w starym, rozwalającym się drewniak. Ojciec Szczurzego Pyska rozwozi do bimbrowni zawieszone na rozklekotanym rowerze bańki z melasą, nazywa się Cietrzew Feliks, ale wszyscy wołają na niego Kiepora. Dlatego że kiedy upije się, to podczas uciążliwej wędrówki do domu wyśpiewuje na całe gardło.

Ustalamy, że będziemy grać trzy klasy zwykłe, jedną mistrzowską i jedną bez skuski. Nie gramy na pieniądze więc ten, który zajmie ostatnie miejsce otrzyma od każdego kopa w tyłek. Teraz już rozsiadamy się kołem i z pola gry zbieramy wszystko, co może przeszkodzić wbiciu się noża.

Po przeciwległej stronie ulicy rozdzieleni niskim płotem, stoją mężczyzna i kobieta. Mężczyzna co parę chwil wyciąga z kieszeni zegarek na długiej dewizce.

– Ze trzy tysiące ich ładowało na spadochronach w Kampinosie – mówi kobieta.

– Nie wierzę – odpowiada mężczyzna.

– Dzisiejszej nocy to było. Wiadomość na mur.

Gipsowy trącił mnie w ramię.

– Ty, co z tobą? Grasz, czy się opecyndalas?

Zaraz.

– Desantu nie było i nie będzie. Grasz, albo kopy w tyłek.

– Graj, Paweł – zniecierpliwiał się Leon.

Warkot nisko sunących samolotów zagłuszył wszystko. Obładowane bombami stukasy leciały nad Warszawę.

– Graj! – wrzasnął mi w ucho Gipsowy – orientuj się!

Zacząłem grać. Pierwsza klasa poszła mi dobrze. W drugiej skusiłem na łokietku.

– Lepiej ci idzie w klipę – zakpił Szczurzy Pysk.

Dałem mu nóż.

Warkot sztukasów oddalił się. Zrobiło się ciszej.

Szczurzy Pysk aż wysunął z wrażenia język. Szło mu dobrze.

– Pani Złotowska – powiedział mężczyzna – już chyba czas.

– A wiele jest jeszcze, panie Łączyński?

Mężczyzna wyciągnął zegarek.

– Cztery minuty. O... nawet mniej.

Kobieta machnęła ręką i zaczęła znikać w głębi ulicy. Szła szybko, a właściwie to biegła krótkim, świńskim truchtem. Jej spódnica wzdymała się od tego biegu jak sztandar.

Szczurzy Pysk był już w trzeciej klasie, przy piąstce. Wciąż bez skuski.

– Skuś baba na dziada! – wrzasnąłem.

I Szczurzy Pysk skusił. Przy ramiączku nóż upadł płasko i nie wbił się w ziemię.

– Oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wyliwa – stwierdziłem.

– Załatwię cię i tak – odparł ze złością.

Leon uważnie rozglądał się dookoła. Zobaczył, że ten mężczyzna umyka do domu.

– Koniec gry – powiedział – idziemy!

Gipsowy schował scyzoryk do kieszeni. Leon chwycił go za rękę.

– Dawaj nóż!

– Jaki nóż?

– Wariat jesteś. Ten co masz w kieszeni.

Gipsowy uśmiechnął się pogardliwie i oddał scyzoryk.

– Myśli, że połaszczyłem się. Ja takich noży mogę mieć na pięćki.

Wyszliśmy z naszego zaułka. Dopiero teraz poczułem, że jestem zdenerwowany. Ale i oni też się denerwowali. A już najbardziej Szczurzy Pysk, który akurat na mnie musiał pchać się całym ciałem. Odepchnąłem go od siebie.

– Ślepy jesteś, albo ja ze szkła! – krzyknąłem.

Cała ta położona wzdłuż linii kolejowej ulica była pusta. Tylko w oddali, przypalikowana niedaleko torów, pasła się krowa. Wielkie cielsko Berty wznosiło się złowrogo do góry. Wokół niej nie było nikogo. Nikogo też nie było obok stojącego nieco z tyłu, przysadzistego jak żaba, wagonu pancernego.

– Otwórzcie usta – powiedział Gipsowy.

Nie pamiętam czy zdążyłem to zrobić i czy w ogóle ktokolwiek z nas zdążył to zrobić, gdy nagle tak huknęło, że poczułem jak odrzuca mnie w tył, a ziemia pod nogami kołysze się i tańczy. Zaczęliśmy coś mówić, ale nie słyszeliśmy się nawzajem. Z wagonu pancernego wyszło kilku żołnierzy. Lufa Berty powoli zjeżdżała w dół. Jeden z żołnierzy odwrócił się i zaczął patrzeć w naszą stronę.

– Trefnie jest! – wrzasnął Gipsowy. – Kikuje tu!

Schowaliśmy się i znów usiedliśmy kołem, lecz teraz wszystko było inaczej. Leon nie wydobył nawet scyzoryka, bo tylko Gipsowemu chciało się dalej grać. Szczurzy Pysk wpatrywał się

gdzieś tymi swoimi bladymi oczami. Wciąż pachniał prochowy dym. Gipsowy ziewał i wyglądało na to, że się nudzi. Leon żuł żdźbła trawy i strzykał zieloną śliną. Mężczyzna obserwator wrócił na swoje stanowisko, ale nie miał już z kim rozmawiać. Stał wsparty ramionami o poczerniały płot, a z jego ust sterczała dudlawka(chyba fifka) z dymiącym papierosem. Gipsowy spojrzał na niego, a potem podniósł się i zaczął szperać w kieszeniach wystrzępionych spodni. Wydobył spory jeszcze niedopałek i zapalki. Przypalił i znowu usiadł.

– Dasz się sztachnąć? – spytał go Szczurzy Pysk.

– Własnego knota wsadź sobie do mordy – odparł Gipsowy.

Podszedłem do rogu ulicy. Razem ze mną podszedł Leon. Z tyłu telepał się Szczurzy Pysk. Gipsowy został. Położył się na wznak i dymił jak parowóz.

Lufa Berty spoczywała równolegle do ziemi, a ponad nią unosił się dźwig. W jego uchwytych, kołysząc się, zawisł potężny pocisk. Dźwig drgnął i pocisk powoli zaczął zjeżdżać w dół. Jeszcze chwila a znikł i ramię dźwigu przesunęło się w bok.

– O, Jezu – zawodził Szczurzy Pysk – ale on wielki. Jak szafa.

– A coś ty myślał – powiedział Leon – że to kulka do karabinu?

– Taka gówniarzeria – darł się za naszymi plecami mężczyzna obserwator – a już pali!

– Weź się pan i utop – odkrzyknął Gipsowy – palę, bo tak mi się podoba!

Zawarczało, i ni stąd ni owąd, pojawił się motocykl z przyczepą. Błyskawicznie, może ze dwa kroki od nas, przemknął przez światło ulicy. Nagle kierowca zahamował, ale tak ostro, że motocyklem zarzuciło i wyłączył się silnik. Przyczepa była pusta tylko na tylnym siodełku siedział jeszcze jeden żołnierz.

– Pryskamy! – krzyknął Leon.

Nigdy chyba jeszcze tak szybko nie biegłem. Przed nami gnał Gipsowy lecz dogoniliśmy go nie wiadomo kiedy. Był w ciężkich i zbyt dużych sznurowanych trzewiakach, my natomiast z Le-

onem byliśmy w sandałach zrobionych z opon samochodowych, a Szczurzy Pysk był boso. Zwolniliśmy trochę, bo nie chcieliśmy Gipsowego wyprzedzać. Tylko Szczurzy Pysk wyrwał się do przodu. Za nami wciąż była cisza. W tym momencie pękła Gipsowemu sznurówka i but spadł mu z nogi. Zatrzymaliśmy się. Szczurzy Pysk oddalał się coraz bardziej.

– Kusocińszczak z niego – wykrztusiłem.

– Za chude ma uszy jak na Kusocińszczaka – stwierdził Leon.

– Panowie, ale draka – zawołał Gipsowy.

Kłęczał na jednym kolanie, tyłem do nas i pracowicie przeciągał resztkę sznurowadła przez sfatygowane dziurki w bucie.

– Co jest, Gipsowy? – spytałem.

Nim zdążył nam odpowiedzieć i tak zorientowaliśmy się o co chodzi. Na końcu ulicy obok mężczyzny obserwatora stali dwaj niemieccy żołnierze, a ich motocykl stał nieopodal. Żołnierze gestykulowali, mężczyzna tkwił nieruchomo, a później, idąc wzdłuż płotu pokazywał im coś ręką. Gipsowy zawiązał but i podniósł się z kłęczek.

– Z gówniarzami tak zawsze.

– Prysnałeś pierwszy – powiedział Leon.

– Ja, ja? – zaperzył się Gipsowy.

Szczurzy Pysk, tak na oko oddalił się od nas przynajmniej z pięćdziesiąt metrów.

– Niezły motorek ma w nogach – zachichotał Gipsowy.

Wypadało zawołać go, lecz Szczurzy Pysk zatrzymał się i zaczął wracać. Chwilę milczeliśmy patrząc jak zbliża się do nas.

– Pojechali już – zawołał nagle Gipsowy – nie ma ich!

– Strachy na Lachy pojechały.

Szczurzy Pysk zbliżył się już na tyle, że widać było wyraźnie jego wykrzywioną złością twarz.

– Ty – krzyknąłem – gonił cię kto, czy co?

– Kocisko go jakieś goniło. A kto Szczurzego Pyska mógł gonić? – oświadczył Gipsowy.

Szczurzy Pysk był już przy nas, aż pobladł z tej złości.

– Nie nazywam się Szczurzy Pysk! Ziutek mam na imię!
– Dla mnie jesteś Szczurzy Pysk – powiedział Gipsowy – w sam raz ci to pasuje.
– Może mieć pseudo, Kusocińszczak – powiedział Leon.
– Nie chcę! – darł się Szczurzy Pysk. –Mówilem już! Ziutek mi!
– Stul się! – przerwał mu Gipsowy i spytał – panowie, to co robimy?
– Ty Gipsowy pewnie byś zagrał w coś – powiedziałem – ale nie na sucho, tylko na moniaki. Cwaniak jesteś.
– Pieniądz rządzi światem – oświadczył nagłym basem Gipsowy – a my pieniądzem.

Ruszyliśmy przed siebie całą szerokością tej bocznej ulicy, ograniczonej po bokach płytkimi rowami, w których wciąż zieleńczała się trawa. Nawierzchnia ulicy była szaroczarna, a ponad nią snuł się wątyły zapach gumy. Dwa tłuste perszerony, zaprzęgnięte do wielkiej platformy z wysokimi burtami, wywoziły na ulicę osiedla żużel z fabrycznej kotłowni, a także różne odpadki gumowe, najczęściej nadlewy powstałe podczas wulkanizacji. W naszej fabryce robiono również akumulatory, więc wśród śmieci zdarzały się niekiedy resztki płyt, z których wykruszaliśmy wyschniętą pastę, zostawiając ołowianą kratkę. Z resztek tych, po przetopieniu, odlewaliśmy co się dało, ale najczęściej żołnierzy. Gipsowy odlał ich chyba setki. Parę miesięcy temu znalazł sobie jednak inne zajęcie. Związał się z chłopakami z kity, którzy zwalali z jadących towarówek węgiel. Był zbyt mały, aby wskoczyć na najniższy nawet umieszczony stopień wagonu. Zbierał więc tylko wzdłuż torów zrzucone z pociągów kęsy. Ale od kiedy wybuchło Powstanie był bezrobotny.

Od Grubej Berty dzielił już nas spory kawałek drogi, gdy znowu zakołysała się ziemia. Wydawało nam się, że ten huk rozlega się teraz w głębi naszych czaszek, że najpierw rozsadza je, potem ściga bolesną obręczą. Po chwili rozległ się świst, to świstał tak ten ogromny, wypchany trotylem pocisk, sunący w stronę Warszawy.

Ulica skończyła się i wyszliśmy na pole. Niewiele go było, splachetek tylko, do tego zryty gąsienicami czołgów. Przez to pole, porośnięte wysoko wybujałymi chwastami, prowadziły dwie ścieżki. Jedna do domów kolonii kolejowej, druga do widocznego już stąd placu targowego. Skręciliśmy w stronę targowiska i Gipsowy natychmiast przyśpieszył kroku.

– Śpieszy się jak do raju – odezwał się Leon.

– A może on tam co zgubił? – dodałem.

– Najpierw trzeba coś mieć.

– Gipsowy ma kredyt u Meinla. Figura z niego.

– Gipsowy ma – ocknął się Szczurzy Pysk – ale dwa białe, trzecie jak śnieg.

Gipsowy raptownie przystanął. Potem chwycił Szczurzego Pyska za coś, co kiedyś było swetrem.

– Wyładować ci w ryja? U mnie krótko. Nie podoba się, to w ryj!

– Zostaw go – powiedział Leon.

– Zostaw Ziutka, Gipsowy – powtórzyłem za Leonem.

– Co to nabojka – zaśmiał się – we dwóch na jednego?

– We trzech. Puszczaj go.

Stałem twarzą do niego, a Leon obchodzi go już z boku.

Gipsowy puścił Szczurzego Pyska.

– Pożartować chyba zawsze można? Humor nie zabroniony.

– Zmień kierunek, Gipsowy – powiedział Leon – nie w tym kierunku żartujesz.

– Ja do niego nic nie mam – odezwał się Szczurzy Pysk – ale niech mówi do mnie Ziutek.

Aż do targowiska szliśmy milcząc. Handlowano tu na różny sposób. W drewnianych budach, z rozłożonych na wprost na ziemi płacht, a także odbywała się sprzedaż naręczna. Powietrze wypełniał zgęstniały gwar, ludzie krążyli po całym placu. Handlarka mięsem, baba wysoka i chuda jak kij, nazwiskiem Ruczajowa, mamrotała zgrzytliwym półgłosem:

– Komu cielęcinę? Komu cielęcinę?

– Pani Ruczajowa – zawołał do niej Gipsowy – pies mi ostatnio zginął. Wie coś pani o tym?

– Huncwocie ty jeden – wrzasnęła Ruczajowa – wypłuj zaraz te słowa!

– Rozumiemy się bez słów – odkrzyknął Gipsowy – po co tu słowa?

Ruczajowa krzyknęła jeszcze coś, lecz zagłuszył ją huk Berty. Od tego huku zatrzęsły się budy. Mało kto jednak zwrócił na to uwagę. Tutaj można było kupić i sprzedać wszystko. Żywność, ubrania, zegarki, pamiątki rodzinne i garnki. Walczono o byt, każdy dzień stawał się coraz bardziej trudny.

Na targowisku Gipsowy gdzieś się zapodział. Może stało się to wtedy, gdy bazar nagle zaczął pustoszeć. Gruchnęła bowiem wieść, że przy stacji kolejowej pojawili się żandarmi. Jednak my musieliśmy tam pójść, nasza dzielnica znajdowała się po drugiej stronie torów. Obaw nie było. Takich szczeniaków jak my nie zatrzymywano. Na tamtą stronę można było iść tunelem, albo przez przejazd z opuszczanymi szlabanami. Wejście do tunelu blokowali żandarmi. Ruszyliśmy więc do przejazdu. Szlabany były trochę podniesione. Tam również byli żandarmi. Dwóch miało pistolety maszynowe, a ten trzeci, karabin. Wokół stacji, nieco oddaleni, także stali żandarmi. Był kocioł.

Przy przejeździe tłum gęstniał. Żandarmi nie spieszyli się ze sprawdzaniem dokumentów.

– Żeby tylko nas puścili – niepokoił się Szczurzy Pysk.

– Puknij się w ten głupi kubek – odparł mu Leon – co ty warszawiak jesteś?

– Komm, komm – nawoływali leniwie żandarmi.

W pobliżu stał niezbyt wysoki mężczyzna w długiej, czarnej jesionce i w czarnym kapeluszu z dwoma tobołami przewieszonymi na pasku przez ramię. Była z nim tęga kobieta w palcie z futrzanym kołnierzem. Nikt poza nimi nie był tak ciepło ubrany. Spostrzegłem, że mężczyzna ten wcale nie stara się przesunąć do przodu, ale nieznacznie wycofuje się do tyłu. Ludzi jeszcze przy-

było. Większość puszczano dość szybko, kilka jednak osób odstawiono na bok, na niewielki, przystacyjny skwerek. Mężczyzna w czarnej jesionce znalazł się blisko nas. Tłumaczył coś tej kobiecie, ale ona kręciła tylko głową i cała się trzęsła. Raptem tłum się rozstał i tuż przy nich znalazł się ten żandarm, który miał karabin.

– Ausweis bitte – powiedział krótko.

Mężczyzna błyskawicznym ruchem zrzucił z pleców toboły, rozpiął jesionkę, wydobył plik papierów i wręczył je żandarmowi. Ten nawet do nich nie zajrzał. Nagle, wciąż trzymając dokumenty, strącił mężczyźnie kapelusz z głowy.

– Jude? – spytał.

– Nie! – krzyknął mężczyzna – nein! Jaki tam ze mnie Jude, panie oficerze?

Wyszarpnął spod koszuli zawieszony na grubym łańcuszku medalik.

– O! – zawołał znowu – proszę! Niech pan popatrzy. Pamiątkowy. Z Legionów Piłsudskiego. Na wojnę bolszewicką szedłem. Wtedy go dostałem.

W tłumie rozległ się czyjś śmiech, lecz on nie zrażony tym zwrócił się do stojącej przy nim kobiety, która wciąż trzęsła się tak, jakby miała w środku jakiś, trzęsący się mechanizm.

– Broniu, słyszysz mnie? I na co ty czekasz? Pokaż panu oficerowi ten krzyżyk. Po mojej mamusi masz go przecież. Broniu! No! Pośpiesz się! Pan oficer ma dużo pracy.

Z gardła kobiety wydobywał się głuchy, jednostajny jęk. Z jej ust strużkami ściekała ślina. Żandarm wolnym ruchem schował dokumenty do kieszeni. Mężczyzna nachylił się, chciał podnieść leżący na ziemi kapelusz. Niemiec zerwał z ramienia karabin i z dołu, na płask, uderzył go kolbą.

– Raus! – ryknął.

I popychając ich trzymanym oburącz karabinem pognął przed sobą. Podniosłem się na palce, żeby widzieć co z nimi robi. Wyprowadzi ich gdzieś i od razu stuknie, czy daruje im jeszcze tę

odrobinę życia. Ludzie mówili coś, szemrały słowa, na które nie zwracałem uwagi. Zdażyłem zobaczyć, że doszli już do skwerku i że żandarm nie prowadzi ich nigdzie dalej tylko ustawia osobno, w pewnej odległości od tych kilku osób, zatrzymanych wcześniej. W chwilę później ostry ból przeszył połowę mojej twarzy. Jak spod ziemi wyrósł obok mnie folksdojcz Wilhelm Ryba; chwycił mnie za ucho i trzymał w żelaznym uścisku. Z tego bólu skrzyłem głowę i dostrzegłem, że Ryba drugą ręką chwycił Leona za kołnierz koszuli. Parę dni temu kradliśmy z jego ogrodu jabłka i choć wtedy nie daliśmy się mu złapać, musiał nas zapamiętać.

– Panie Ryba – zawołał ktoś – puść pan tych chłopaków! Co oni panu zrobili.

– Milczeć! – wrzasnął Ryba.

Przecisnęliśmy się przez tłum, poza którym byli tylko ci dwaj żandarmi, bo ten trzeci jeszcze nie wrócił. Ryba powiedział do nich parę słów po niemiecku, ci zarechotali i powlekli nas po kocich łbach przejazdu. Na sąsiedniej ulicy był posterunek policji granatowej. Pomyślałem, że tam nas prowadzi i zostaniemy zamknięci w areszcie. Pełen strachu zastanawiałem się jak możemy mu uciec, kiedy Ryba nagle puścił moje ucho i w ułamek sekundy później kopnął mnie. Poleciałem do przodu jak z procy i zwaliłem się na tory. Czułem, że mam rozbite kolano, a moje łokcie są zdarte do krwi. Nie zważając na ból podniosłem się i krok za krokiem zacząłem iść przed siebie. Usłyszałem tupot. Po chwili szedł obok mnie Leon, a w moment później doszłusował Szczurzy Pysk. Leon spluwał krwią. Żandarmi, którzy stali po drugiej stronie przejazdu byli już blisko. Nudzili się, bo od tamtej strony nie było widać, aby ktoś nadchodził. Też było ich trzech. Dwóch stało obok siebie, a jeden trochę z boku, oparty o słupek od szlabanu. Teraz było mi obojętne co będzie dalej. I tak ledwie szedłem. Ale oni nie zrobili nam już nic. Tylko ten, który opierał się o słupek, wycelował w nas palcem, krzyknął – paf! – zadarł nogę, po czym głośno, jakby mu w kiszce stolcowej rozerwał się granat, skaleczył powietrze.

Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział w Powstaniu Warszawskim?

Po zakończeniu działań wojennych w 1939 r Niemcy część terenu Polski przyłączyli do Rzeszy, z części utworzyli Generalną Gubernię. Gostynin, w którym mieszkalem od urodzenia, znalazł się na terenie Rzeszy. Mieszkańcy Gasten, bo tak nazwali nasze miasteczko Niemcy, by wyjechać do Generalnej Guberni, musieli otrzymać zezwolenie od władz niemieckich.

Przed wojną byłem zuchem, jednak, gdy w Gostyninie powstało tajne harcerstwo, zostałem harcerzem Szarych Szeregów – do nas należał „mały sabotaż”.

Spotykaliśmy się w harcówce – tu przekazywano nam zadania, które mieliśmy wykonać.

Warunki były ciężkie. Mimo że byłem małym chłopcem (urodziłem się 29.05.1930 r.), pracowałem w gospodarstwie niemieckim. Do moich obowiązków należała opieka nad jedyną krową – pasłem ją, oporządzałem, doilem, odciągałem śmietanę od mleka, a z niej robiłem masło. Tych czynności nauczyła mnie babcia, do której jeździłem na wakacje.

Niemcy byli z mojej pracy zadowoleni, oprócz jedzenia dawali mi kilka marek, które odkładałem do skarbonki.

Nadszedł rok 1944 – lato...

Otrzymałem do wykonania trudne zadanie...

Moja najstarsza siostra mieszkała w Milanówku koło Warszawy. Miałem postarać się o zezwolenie na wyjazd do Generalnej Guberni w celu odwiedzenia jej. Mój gospodarz dał mi urlop

i załatwił pozwolenie na wyjazd. Otrzymałem urlop na dwa tygodnie (28.07 – 4.08). Dał mi na drogę 20 marek. Gdy załatwiłem formalności, otrzymałem polecenie napisane na serwetce „Godzinę <<W>>” opóźnić o dwa tygodnie, zamówioną broń dostarczymy tydzień wcześniej. W razie kontroli tę zapisaną serwetkę włożysz do kanapki i zjesz, nie umrzesz. Wiadomość zapamiętaj i przekaz księdzu w Katedrze na Starym Mieście” (dostałem na drogę kanapkę z szynką). Zrozumiałem. Rano pożegnałem się z Rodziną – starszy brat Janek (brał udział w wojnie w 1939 r.) ostrzegął mnie i prosił, bym uważał, bo może być gorąco.

Wsiadłem do pociągu. Wydawało mi się, że jadę bardzo długo, z nudów, przy miarowym stukaniu kół, drzemałem. Gdy pociąg zaczął zwalniać, wyjrzałem przez okno – pomyślałem, że nareszcie zbliżamy się do jakiegoś miasta, bo zobaczyłem zabudowania.

Towarzysz podróży, siedzący obok mnie, poinformował, że zbliżamy się do Łowicza – wstał i skierował się do wyjścia.

Na wszelki wypadek wyjąłem kanapkę i włożyłem w nią serwetkę złożoną kilka razy. Zacząłem powoli jeść – kanapka smakowała mi bardzo – tak wspanialej nie jadłem w życiu. Gdy pociąg się zatrzymał, jedni pasażerowie wysiedli, inni weszli – pociąg ruszył dalej. Do przedziału wszedł konduktor, a z nim mężczyzna ubrany po cywilnemu – byli w towarzystwie dwóch żołnierzy. Po sprawdzeniu moich dokumentów powiedział: *weiter fahren* (dalej jechać). Podziękowałem i nadal jadłem swoją kanapkę – nie czułem w niej serwetki...

Po pewnym czasie do przedziału, w którym siedziałem, przyszedł konduktor. Udzielił mi wskazówki, że mam wysiąść w Skierniewicach i tam wsiąść do pociągu, który będzie jechał do Warszawy. Po drodze jest Milanówek. Do Milanówka dojechałem o godzinie dziewiętnastej – Gdy stanąłem w drzwiach mieszkania mojej siostry, nie mogła uwierzyć, że to ja. Radość była ogromna. Opowiadaniom nie było końca – o rodzicach, o tym, jak żyjemy, ona też musiała mi mówić o warunkach w Generalnej Guberni,

o swojej rodzinie. Po kolacji poszliśmy spać. Należał mi się odpoczynek po tej długiej podróży.

Ranek 30 lipca przywitał nas słońcem.

Siostra przygotowała śniadanie i szykując się do pracy zleciła nam narąbanie drzewa, napompowanie wody do baniaka na strychu (to była mała wieża ciśnień – mieściło się w niej 400 litrów wody).

Po powrocie mojej siostry z pracy dostaliśmy „zasłużony obiad” jak powiedziała. Po obiedzie nie odpoczywaliśmy. Poszliśmy do sąsiada, który miał gospodarstwo – pomagaliśmy mu przy zniwach. Dzięki tej dodatkowej pracy mogła się jakoś utrzymać.

Powiedziałem siostrze, że przyjechałem do niej, ponieważ muszę przekazać pewną wiadomość księdzu, który mieszka przy katedrze na Starym Mieście. Nie pytała o nic. Powiedziała, że do Warszawy następnego dnia pojedzie ze mną Władek, jej najstarszy syn.

Rano następnego dnia, zaopatrzeni w duże kanapki i przestrogi mojej siostry, która zdawała sobie sprawę, że ja nie znam łapanek, strzelaniny i zachowań Niemców w Generalnej Guberni, pojechaliśmy EKD do Warszawy. Gdy wysiedliśmy z kolejki, byłem zachwycony – wysokie, czteropiętrowe domy, drapacz chmur – wszystko przyprawiało mnie o zawrót głowy. Gdy szedł patrol niemiecki Władek ostrzegał, bym nie rozglądał się, bo Niemcy mogą nas „drapnąć”. Nareszcie doszliśmy na duży plac – Władek wyjaśnił, pokazując gruzy, że tu stał zamek królewski, który został wysadzony przez Niemców, zresztą, jak wiele innych budowli.

Ucieszyłem się, gdy Władek wskazał mi kościół i powiedział, że to katedra, której szukam. Weszliśmy do środka – Przy ołtarzu była msza święta, w konfesjonale inny ksiądz spowiadał. Gdy skończył spowiadać podszedłem do niego i powiedziałem, że szukam księdza X. Powiedziałem, że przyjechałem z Gostynina – przekazałem mu treść, którą miałem na serwetce (którą zjadłem). Ksiądz, mimo że nie miałem żadnego dowodu, uwierzył mnie.

Po rozmowie z jakimś panem zaprowadził nas do pomieszczenia, w którym ze zdziwieniem zobaczyłem wielu wojskowych i cywilów z białą – czerwonymi opaskami na rękę. My otrzymaliśmy opaski i przydziel do batalionu „Zośka”. Nie spodziewaliśmy się takiej sytuacji – naszym marzeniem był powrót do Milanówka, to jednak okazało się nie możliwe.

Pomagaliśmy przy budowie barykady.

W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały i huk (chyba wybuch granatów) – to był początek powstania. Ci, którzy mieli opaski, otrzymywali broń. My nie otrzymaliśmy żadnej broni – było jej bardzo mało. Początkowo było duże zamieszanie; gdy przyszli dowódcy, zarządzili zbiórki.

„A wy kto?” spytał jeden ze starszych. Opowiedzieliśmy swą historię. Stwierdził „Aha, to już wiem, jesteście pod moim dowództwem, a to jest moja grupa i róbcie to co oni, czyli na razie barykady”.

A tam, gdzieś w mieście, słysząc strzelaninę. Starsi mówią między sobą „to zaczęło się za wcześnie” Podsluchuję rozmowy starszych. Dowiaduję się z nich, że za Wisłą, na Pradze, stoją już Rosjanie, ale nie idą dalej, a tu z Niemcami, walczą powstańcy.

Chciałem walczyć. Miałem przecież już czternaście lat. Byli wśród nas młodszy. Nie było broni. Kazano nam zajmować się cywilami, szczególnie kobietami z dziećmi Znalazłem chłopca 13-letniego, którego szukała matka. Miał na ramieniu białą – czerwoną opaskę. Na wiadomość, że szuka go mama, powiedział: „niech się mama nie martwi, po powstaniu się spotkamy, wiem, gdzie mieszkam”.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza – brak żywności, wody do picia, a rannych ciągle przybywało. Armata, zwana grubą berta, umieszczona na wagonie w Pruszkowie, niszczyła domy, samoloty bombardowały, było wiele ofiar nawet wśród dzieci, rannych przybywało – ja takiej wojny w Gostyninie nie przeżywałem...

My (Władek i ja) opiekowaliśmy się pięciorgiem dzieci i czterema kobietami – nie mieli oni nikogo bliskiego na Starym Mieście – staraliśmy się, by mieli coś do jedzenia. Często, w obrębie Starego Miasta, biegaliśmy z meldunkami. Walki powstańców nie przynosiły większych efektów. Gdy zdobyli jakiś teren, przenosiliśmy się tam. Czasami zdobywali jedzenie, czasami broń. Widzieliśmy też prowadzonych Niemców, którzy dostali się do niewoli. A my z Władkiem marzyliśmy o tym, by po zwycięstwie Polaków i zakończeniu powstania wrócić do Milanówka.

Byliśmy pewni, że moja siostra, a mama Władka martwi się o nas. Dochodziły do nas hiobowe wieści. Według relacji ludzi, którzy przedostali się na Stare Miasto, Niemcy wprowadzili do walki bestialskie oddziały Ukraińców, które gwałcą kobiety i mordują dzieci.

Straciliśmy poczucie czasu. Niektórzy mówili, że to już wrzesień. Wychudliśmy obaj. Takiego głodu nie zaznałem nigdy. Zawsze był chleb i gorąca zupa. Teraz suchary namoczone w wodzie. Często nie było wody. Musieliśmy starać się, by dostarczyć wodę do szpitala, który znajdował się w piwnicy.

Pewnego dnia otrzymaliśmy polecenie od mężczyzny w cywilnym ubraniu z opaską AK, który nam powiedział „ponieważ Niemcy otaczają Starówkę, trzeba ewakuować ludność cywilną. Wy dwaj jesteście rodziną i jeszcze życie, dostajecie zadanie – przeprowadzić te oto dziesięć pań z ośmiorgiem dzieci do śródmieścia.” Pokazując na Władka, ciągnął dalej „on Warszawę zna, pójdziecie na razie tymi ulicami, a potem tym włazem do kanału, a tu wyjdziecie już prawie bezpieczni, tu przez ulicę do piwnic domów.” Drogę pokazywał nam na planie. Łatwo było mówić komuś, kto zna Warszawę i wszystkie „tajne” przejścia Ale ja... nie znałem miasta, a tu jeszcze do jakiegoś kanału wleść... Był jednak Władek, mój rówieśnik... Poszliśmy, ja na początku, za mną kobiety z dziećmi, pochód zamykał Władek, który pilnował, by nam się nikt nie zgubił.

Doszliśmy do pierwszego włazu, którym po żelaznych szczeblach wszedłem do kanału.. Patrzę przed siebie, ciemno. Zapali-

łem świeczkę. Woda sięga mi po kolana, powietrze zaduszone, oślizgłe ściany no i pełno szczurów – na szczęści uciekają...

Kiwnąłem w górę – niech schodzą. Nie będę opisywał, jak odbywało się to zejście do kanału...

Jesteśmy już wszyscy w kanale... mamy iść przed siebie, ominać dwa włazy zachowując ostrożność i idealną ciszę, ponieważ Niemcy obserwują te włazy i, gdy usłyszą jakieś głosy, rzucają weń granaty. W ten sposób zginęło wielu walczących.

My, ostrzeżeni, zachowywaliśmy ciszę – tak doszliśmy do końca kanału. Wejście zakratowane. Wołam Władka, bo za kratą widzę wodę. „To jest Wisła” – mówi Władek. Okazało się, że pomyliłem drogę. Na szczęście doszedł do nas powstaniec w wojskowym mundurze, wyjaśnił, że mieliśmy minąć trzy wyjścia do włazów i skręcić w lewo i pierwszym włazem dostać się na górę. Szedł na tę barykadę, pocieszył nas, że to już blisko. Bezpieczni, pod jego opieką, doszliśmy do celu.

Nasz nowy opiekun wyszedł pierwszy, rozejrzał się i dał znak, że możemy wychodzić i szybko przejść na drugą stronę, do częściowo zburzonego domu. W piwnicy policzyliśmy swoich podopiecznych – byli wszyscy, zmęczeni, aż żal było patrzeć. O sobie nie myśleliśmy, czuliśmy się odpowiedzialni za nich. Tu, na świeżym powietrzu, doszliśmy do siebie i pomyśleliśmy, by zaopatrzyć się w wodę.

Wyszedłem z piwnicy – ze wszystkich stron, tak mi się wydawało, strzelanina, huki granatów i bomb. Niemcy zrzucali je na niedaleko ustawioną barykadę.

Postanowiłem dobiec do barykady, przypuszczając, że tam znajdę wodę. Schylony biegłem wzdłuż muru – udało się. Tu spotkałem znajomego z kanału. Wskazał mi między domami jedyny, czynny kran. Sam rzucił butelkę z benzyną na czołg, który akurat podjeżdżał pod barykadę. Zapalił się. Ja pobiegłem na podwórko, znalazłem jakieś pogniecione wiaderko, w którym przyniosłem wodę do piwnicy. Wszyscy zaspokoiliśmy pragnienie i poczuliliśmy głód – zjadłem ostatni kawałek chleba.

Po pewnym czasie odwiedził nas w piwnicy żołnierz z AK wraz z dwoma harcerkami – sanitariuszkami. Sprawdziły, czy mamy rannych – na szczęście tylko jedna z pań miała startą nogę. Udzieliły jej fachowej pomocy (pamiętam imię tej poszkodowanej, bo miała takie, jak moja mama – Kasia).

Dowiedzieliśmy się też, że wkrótce przybędzie nowa grupa ze Starego Miasta i, że przyniosą ze sobą trochę żywności. Prosił nas, byśmy zaopiekowali się nowymi przybyszami a żywność rozdzielili sprawiedliwie. „Tak jest, panie poruczniku” zsalutowałem. Okazało się, że jest on sierżantem. (moja pomyłka nie była ważna – najważniejsze to to, że był przyzwoitym, odważnym człowiekiem). Za chwilę przyszli, przysłani przez niego chłopcy z kilofami i łomami. Mieliśmy przebić się do innej piwnicy, by powstańcy mieli możliwość ucieczki przed Niemcami. Wybiliśmy mały otwór – okazało się, że w sąsiedniej piwnicy znajdowali się powstańcy – było ich około dwudziestu – pomogli nam – dzięki temu zrobiliśmy duży otwór. Zaproponowali nam odgruzowanie wejścia do naszej piwnicy od podwórka. Szybko zabraliśmy się do roboty. Nowym wejściem dostaliśmy się na podwórko. Podwórko – tak zwana studnia – domy wkoło i brama wjazdowa. Zastaliśmy na nim cywilów, wśród nich wiele dzieci. Pomogli nam bardzo. Jedna z pań widząc moje porwane i śmierzzące krótkie spodenki dała mi nowe, swojego syna. Teren, na którym teraz znaleźliśmy się, był wolny od Niemców.

Po wykonaniu tej pracy otrzymaliśmy nowe zadania. My, harcerze Szarych Szeregów wykonywaliśmy powierzone nam zadania, mimo że często były one trudne. Władek, który znał Warszawę dostał meldunek, który miał dostarczyć pod wskazany adres, ja miałem rozwieszać plakaty na ścianach. Jak wyglądał taki plakat? Na środku trupa czaszka hitlerowca, na górze napis „jeden nabój”, u dołu „jeden szkop” – roznośłem je, chodząc po ulicy i rozdawałem napotkanym, maszerującym powstańcom, którzy kierowali się na wyznaczone stanowiska, na barykady.

Ogrom zniszczeń, widok zabitych cywilów i dzieci już przestały robić na mnie wrażenie. Bałem się, nie myślcie, że byłem

bohaterem. Byłem tak samo głodny, jak inni, obawiałem się śmierci, którą można było spotkać w każdej chwili. Powstańcy, mimo bardzo trudnych warunków i zagrożeń bohatersko odpierali ataki Niemców na barykadach, czy bronili poszczególne domy czy podwórka. Gdy nosiłem wodę na barykady, widziałem niewiele starszych chłopców ode mnie, którzy rzucali butelki z benzyną na niemieckie czołgi [butelki z benzyną na czołgi rzucały też młode dziewczęta – przypis redakcji]. Rzucali je z okien zburzonych domów. Widziałem, jak trafiony czołg zapłonął – Niemcy, kryjący się za nim, wycofywali się. Jeden czołgista, wychodząc z palącego się pojazdu, zachwiał się i spadł. Pomyślałem sobie „jeden nabój jeden szkop” Barykada obroniona – na jak długo?...

Wierzyłem w zwycięstwo powstańców. Wróciłem na bezpieczne podwórko, aby, w miarę możliwości pomagać bezbronnym. Zastanawialiśmy się, jak długo wytrzymamy. Żywności było coraz mniej. Kończyły się zapasy w domach, a o jakiejś dostawie nie było mowy. Doszła do nas wiadomość, że z powodu braku ciężkiej broni padło Stare Miasto. Na Śródmieście przybywało coraz więcej cywili i wojskowych. Część z nich miała hełmy i broń niemiecką. Byli bardzo zmęczeni. Słyszałem, jak mówili, że brakuje amunicji, nie ma czym walczyć, ale Warszawa broni się, mimo, że to jest piekło na ziemi.

Dostałem rozkaz, by zanieść meldunek we wskazane miejsce. Otrzymałem szkic, jak tam się dostać i ostrzeżenie, że nie wolno mi zginąć, bo meldunek jest bardzo ważny.

Szkic był taki: „kanałem pierwszym minąć dwa wyjścia, wychodzić” (nie znałem Warszawy). Ruszyłem, wszedłem do kanału. Wcale nie lepszy od tego, znanego mi – szczury takie same, tylko ludności cywilnej więcej – gdzieś się przepychają, a może chronią się, by przeżyć. Przeciskam się między nimi, aby szybciej dostać się na ten Mokotów. Jakiś starszy gość woła: „gdzie się przeciskasz?” „Przepraszam, mam pilny meldunek, muszę go dostarczyć” – usunął się, gdy poświecił latarką na moją opaskę, mruknął: „dzieci w tę wojnę wciągnęli”. Nie odpowiedziałem, przeszedłem obok niego do trzeciego wyjścia.

Po prętach podszedłem na płytę zamykającą właz, nie mogłem jej podnieść do góry tak była ciężka. Przez chwilę pomyślałem, że stoi na tej płycie Niemiec. Szybko odsunąłem tę myśl od siebie – poprosiłem mężczyzn stojących obok mnie, by pomogli. Gdy wydostałem się z kanału, okazało się, że jest spokojnie, wyszedłem do rowu łącznikowego, gdzie zastałem kilku powstańców – poszli oni ze mną do dowódcy. Przekazałem meldunek – podziękował i powiedział: „będziesz żołnierzyku wracał razem z nami”. Kazał mnie nakarmić – gdy najadłem się i zaspokoilem wodą pragnienie wyjąłem organki i zacząłem grać piosenkę „serce w plecaku” żołnierze zaczęli wtórować mi śpiewając. Na komendę „zbiórka” nastąpiła cisza. Komendant ogłosił wymarsz o godz. 14.00. Rozkazał zabrać wszystko, co będzie możliwe. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że to już trzeci miesiąc powstania, a nie ma ani zwycięstwa, ani zakończenia walki. Powstańcy opuszczali Mokotów i mimo, że wielu z nich było rannych – niektórzy mieli rękę na temblaku, inni zabandażowaną głowę, szli, by walczyć o wolność. Narzekali tylko na brak amunicji. Zatrzymali się przy jakimś domu, przy którym stała kobieta z opaską czerwonego krzyża. Była to lekarka, która mimo namowy dowódcy, nie chciała opuścić chorych. Zszedłem do piwnicy, zagrałem im na mojej harmonijce. Powstańcy, z którymi szedłem ruszyli w dalszą drogę, ale przez podwórka, między gruzami domów. Pani doktor powiedziała „no, leć żołnierzyku, bo się zgubisz, oni poszli tam” – wskazała mi ręką drogę. Dogoniłem grupę, zatrzymali się na podwórku, na którym było wielu cywili. Nagle usłyszeliśmy wybuchy granatów i długie serie pistoletów maszynowych, po krótkiej przerwie usłyszeliśmy długą serię z kierunku, który opuściliśmy. Z rąk bandytów zginęła doktor Ewa z rannymi, którymi się opiekowała.

Już ruszaliśmy w dalszą drogę. Nagle do dowódcy przybiega łącznik i melduje: „podpisano kapitulację Powstania – należy wychodzić na ulice, w kierunku dworca centralnego i Alei Jerozolimskich. Tam nastąpi składanie broni”. Kolejki były długie – jedna dla Akowców, którzy składali broń, druga – to cywile – kobiety

z dziećmi – przechodzili obok nas, chciałem do nich dołączyć – nie udało się – miałem opaskę – Niemiec cofnął mnie do grupy powstańców.

Powstańcy, którzy już zdali broń i zostali zrewidowani, byli dołączeni do innych grup. Wśród nich spotkałem Władka. Żyje! Przeżyliśmy obaj te naprawdę ciężkie dni dla Warszawy, a przecież wielu powstańców zginęło. Teraz kombinuję, jak uciec – to jednak jest nie możliwe – za duża obstawa... Po zdaniu broni Niemcy odprowadzili powstańców do samochodów i odwieźli na dworzec kolejowy, gdzie umieścili nas w wagonach towarowych. Szukam Władka, okazuje się, że jest w drugim wagonie. Proszę Niemca, by pozwolił mu przejść do mnie, bo to mój brat. Niemiec odpowiada krótko: *nein* – i znów jesteśmy rozdzieleni... Nie bałem się, ani o niego, ani o siebie – te śmiercionośne dni, pełne grozy zahartowały mnie – byłoby nam jednak razem różnie.

Przed wieczorem pociąg ruszył. Zatrzymał się dopiero w Pruszkowie. Usłyszałem, jak mówiono w wagonie, że tu jest obóz przejściowy, z którego wysyłają w różne strony – jednych do pracy, innych do obozów koncentracyjnych, a jest to przede wszystkim uzależnione od woli „panów świata”. Nas nie wysadzili, otworzyli tylko drzwi wagonów i pozwolili dać nam chleb i wodę. Niewiele widziałem, było ciemno... Rano ruszyliśmy w dalszą drogę do Reichu. Gdy pociąg zatrzymał się, kazali nam wysiąść. Rozglądałem się za Władkiem, wołałem, ale go nie było. Patrzę na nazwę stacji – Bremervorde – niektórzy zapisywali. Szliśmy długo, przebyliśmy chyba 10-12 km. Czułem to w nogach. Przyprowadzili nas do obozu jenieckiego „Sandboster”. Było tam wielu jeńców, prawdopodobnie z różnych frontów.

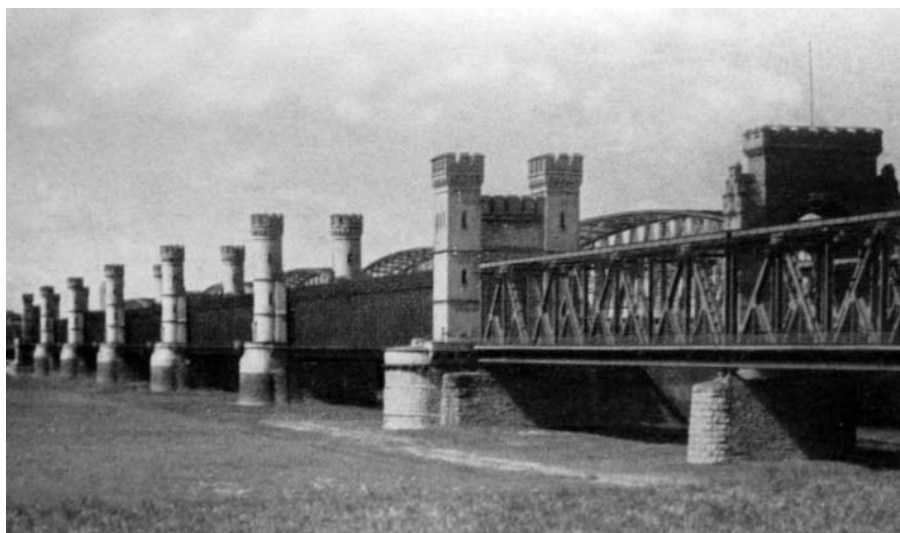
I tak harcerzyk z Gostynina stał się jeńcem wojennym – Kriegsgefangener.

Wydawało mi się, że tak niedawno, bo w 1939 roku, widziałem w Gostyninie jeńców – żołnierzy polskich, prowadzonych ulicą Długą, przy której mieszkałem.

Szymon Kucharski
Członek Zarządu PTKN

O dwóch Pruszkowiakach, którzy wysadzili tczewskie mosty

Zarys biografii mjr. Jana Guderskiego i ppor. Norberta Juchtmiana



Widok mostów tczewskich w okresie międzywojennym (zbiory Sz. Kucharskiego).

W czasie niemieckiej agresji na Polskę w 1939 r. jednym ze strategicznych celów 4. Armii, operującej na Pomorzu, było zajęcie w stanie nienaruszonym mostów: drogowego i kolejowego przez Wisłę w Tczewie. Ich znaczenie dla Niemców było oczywiste – tędy biegło najkrótsze połączenie między Rzeszą a Prusami

Wschodnimi. Dalej, w dół Wisły, aż do jej ujścia do Bałtyku, nie było już żadnych mostów. Najbliższy w jej górnym biegu znajdował się dopiero około stu kilometrów dalej, w Grudziądzu, a następnie, kolejne tyle kilometrów dalej, w Fordonie.

W okresie pokoju kursowały wtedy pociągi relacji Berlin-Królewiec, a warto pamiętać, że przewożona nimi niemiecka korespondencja urzędowa czy wojskowa była skrupulatnie przeglądana przez polskich wywiadowców w ramach akcji o kryptonimie „Wózek”. Algorytm ekspresowego rozpieczętowywania, kopiowania i ponownego zapieczętowywania przesyłek, wykorzystywany podczas przejazdu wagonu pocztowego przez terytorium Rzeczypospolitej między Chojnicami a Tczewem doprowadzono do perfekcji. Dzięki temu cała akcja nigdy nie została zdekonspirowana przez Niemców.

Dla Polski omawiana linia kolejowa nie miała dużego znaczenia. Znacznie istotniejsza, a właściwie najistotniejsza na Pomorzu, magistrała węglowa Śląsk-Gdynia, biegła do niej dokładnie prostopadle. Nie istniały więc przeciwwskazania, aby dokonać zniszczenia omawianej linii właściwie od razu po wybuchu potencjalnej wojny z Niemcami, utrudniając w ten sposób komunikację między dwoma częściami państwa niemieckiego. Kluczowymi elementami planu musiało się stać wysadzenie wiaduktów i urządzeń stacyjnych w Chojnicach (na jej zachodnim krańcu) oraz mostów w Tczewie (na wschodnim).

Przypadek sprawił, że projektantem i wykonawcą dzieła zniszczenia mostów tczewskich stali się dwaj oficerowie wojsk saperskich, związani z Pruszkowem. Długoletni mieszkaniec naszego miasta, mjr Jan Guderski, zaplanował i latem 1939 r. nadzorował wykonanie instalacji minowych, natomiast uczeń i absolwent „Zana”, ppor. Norbert Juchtman, dyżurował wraz ze swoim patrolem w centrali minerskiej przy mostach od końca sierpnia 1939 r. – rankiem 1 września wykonał rozkaz zdetonowania ładunków. Dziwnym zrządzeniem historii, losy obu oficerów spletały się ze sobą kilkakrotnie; co więcej, obaj spoczęli ostatecznie na tym samym cmentarzu.



Kapitan Jan Guderski. Zdjęcie z okresu służby w 2. batalionie saperów w Puławach (zbioru PTK-N).

Jan Guderski urodził się 25 grudnia 1894 r. w Warszawie. Rodzina mieszkała wówczas w Pruszkowie, a ojciec, Stanisław, pracował w tujejszych Warsztatach Naprawczych Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Matka, Anna z Jędruszkiewiczów, zajmowała się domem. Do historii przeszedł, i dziś powszechnie znany jest ich młodszy syn, Konrad (1900-1939) – inżynier, absolwent Politechniki Lwowskiej, podporucznik rezerwy Wojska Polskiego, który po specjalistycznym przeszkoleniu w Oddziale II (wywiadowczym i kontrwywiadowczym) Sztabu Głównego, został latem 1939 r. zmobilizowany i skierowany do polskiego urzędu pocztowego w Gdańsku. Z początku zakonspirowany jako urzędnik, tuż przed wybuchem wojny ujawnił się jako dowódca obrony placówki. Niestety, wkrótce po rozpoczęciu walki poległ w dość niefortunnych okolicznościach, rażony odłamkiem własnego granatu.

Młody Jan uczęszczał do 1909 r. do szkoły realnej dla dzieci pracowników DŻW-W w Warszawie, po czym rozpoczął naukę w tamtejszej Szkole Technicznej DŻW-W. Jednak w 1913 r. przeniósł się do Średniej Szkoły Mechaniczno-Technicznej, zwanej od nazwisk fundatorów szkołą Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda. Równolegle pobierał nielegalne nauki rzemiosła wojskowego, będąc od 1912 r. członkiem kompanii akademickiej Polskich Drużyn Strzeleckich. Sam zorganizował i wyszkolił

trzy zastępy tej formacji – w Pruszkowie, Utracie (dzisiejszym Piastowie) i wśród uczniów szkoły rolniczej w Pszczelinie koło Brwinowa (tam najprawdopodobniej poznał swoją przyszłą żonę, której ojciec, Stanisław Brzóska, był w Pszczelinie wykładowcą, a następnie – dyrektorem). Po wybuchu wojny światowej wstąpił w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej i służył w niej jako wywiadowca – meldował przełożonym w Warszawie o ruchach, walkach i dyslokacji wojsk niemieckich i rosyjskich (jesienią 1914 r. front doszedł do Pruszkowa i zatrzymał się na Utracie). W marcu 1915 r. zmuszony został przerwać naukę (nie uzyskał już nigdy matury!) i działalność konspiracyjną – zmobilizowano go do armii rosyjskiej. Prawdopodobnie wkrótce jego rodzina ewakuowana została do Rosji wraz z Warsztatami Kolejowymi.

Guderski służył w Rosji jako urzędnik wojskowy w tyłowych oddziałach inżynieryjnych, budujących drogi i mosty, przerzucających, w zależności od potrzeb, z jednego odcinka frontu na drugi. Podczas prac w rejonie Baranowicz dostał się 3 marca 1918 r. do niewoli niemieckiej i został wywieziony do obozu jeńców w Hammerstein. Wolność odzyskał dość szybko, bo już w połowie czerwca. Wyjechał wówczas w głąb ogarniętej rewolucją Rosji, zapewne w celu poszukiwania rodziny. Prawdopodobnie cała rodzina przyjechała do Warszawy z Kurska w połowie lipca i zamieszkała tymczasowo przy Al. Jerozolimskich 47 (dziś: 53), po czym wróciła do Pruszkowa.

Tu dodać należy, że niestety, nie znamy żadnego dokładnego pruszkowskiego adresu rodziny Guderskich.

* * *



Podporucznik Norbert Juchtman (zbiory PTK-N).

W czasach, gdy Jan Guderski organizował i szkolił pruszkowski zastęp PDS, 27 marca 1914 r. w podgrójeckim Błędowie urodził się drugi bohater niniejszej opowieści. Norbert Juchtman był najmłodszym synem Maurycego – lekarza medycyny i Zuzanny, z domu Piekarskiej. Miał jeszcze trójkę rodzeństwa – Wiktora, Eugenię i Wandę. Dostępne dokumenty nie wskazują, by okres pierwszej wojny światowej rodzina spędziła poza Błędowem. W tej miejscowości Norbert rozpoczął naukę w szkole powszechnej. W 1922 r. ojciec otrzymał intratną posadę lekarza powiatowego w Kosowie Poleskim, gdzie przeniósł się z całą rodziną, a Norbert kontynuował naukę już w tamtejszej szkole.

* * *

Jan Guderski zdecydował się na kontynuowanie kariery wojskowej zanim jeszcze Polska odzyskała niepodległość. 21 sierpnia 1918 r. przyjęty został do polskiej Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej (pod okiem niemieckiego dowództwa funkcjonowała wówczas legalnie formacja wojskowa, zwana Polską Siłą Zbrojną). Czynnego udziału w wydarzeniach, związanych z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, nie brał. Naukę ukończył późną wiosną 1919 r., otrzymując stopień podchorążego, a 9 czerwca awansował na podporucznika piechoty odrodzonego już Wojska Polskiego. Nie otrzymał jednak przydziału liniowego – dzięki swym znakomitym umiejętnościom dydaktycznym (co i później niejednokrotnie podkreślali przełożeni) został zatrzymany w szkolnictwie wojskowym. Był instruktorem i dowódcą oddziałów szkolnych w swej macierzystej Szkole Podchorążych

oraz w nowo utworzonej Szkole Podchorążych Saperów w Warszawie. W najgorętszym okresie wojny polsko-bolszewickiej wymaszerował ze swoją kompanią na front i włączony został do 10. Grupy Fortyfikacyjnej. Pod jego dowództwem kadeci budowali doraźne umocnienia w rejonie Ciechanowa. Pod koniec roku ppor. Guderski otrzymał awans na porucznika i przeniesiony został z piechoty do saperów. Przez kilka kolejnych lat kontynuował działalność pedagogiczną, m. in. w Oficerskiej Szkole Inżynierii i Kościuszkowskim Obozie Szkolnym Saperów (obie placówki w Warszawie), specjalizując się przede wszystkim w minerstwie. W maju 1921 r. zgłosił się jako ochotnik do III Powstania Śląskiego (rzecz jasna, za nieoficjalną zgodą przełożonych) i sformował powstańczy oddział saperski, który w czasie blisko dwumiesięcznej służby zasłużył się w niszczeniu mostów i szlaków komunikacyjnych oraz budowie fortyfikacji. W 1924 r. por. Guderski otrzymał awans na kapitana.

Podczas przewrotu majowego, 12 maja 1926 r. kpt. Guderski, jako dowódca kompanii podchorążych I roku, został skierowany do ochrony gmachu Rady Ministrów (obecny Pałac Prezydencki na Krakowskim Przedmieściu). Dzień później kompanię skierowano w rejon Placu Teatralnego zajętego przez oddziały Marszałka Piłsudskiego. Kompania podchorążych została podporządkowana grupie taktycznej, dowodzonej przez gen. broni Lucjana Żeligowskiego i w jej składzie wzięła udział w walkach na ulicach stolicy. W rejon macierzystej uczelni przebiła się 14 maja.

Jeszcze w tym samym roku kpt. Guderskiego przeniesiono na stanowisko członka komisji odbiorczych sprzętu wojskowego w Centralnym Zakładzie Zaopatrzenia Saperów, a rok później – na referenta minerstwa w Biurze Technicznym Instytutu Badań Inżynierii. Przełożeni kapitana opiniowali go wówczas następująco: *jeden z najzdolniejszych oficerów-minerów; oddany ideowo służbie; oficer pod każdym względem wybitny*. Zauważano też jego bardzo wysoką sprawność fizyczną (cecha jakże potrzebna saperowi!), koleżeńskość i towarzyskość, jak również pęd do wiedzy

i nieustanne poszerzanie swych umiejętności, także na podstawie literatury zagranicznej. Dość rzec, że kpt. Guderski znał biegle języki: rosyjski i francuski, a w latach trzydziestych nauczył się również angielskiego – co w owym czasie było niewspółmiernie rzadszą umiejętnością, niż dzisiaj.

Ponieważ cytowane opinie powtarzały się od kilku lat, w 1931 roku kpt. Guderski dopuszczony został na elitarny, trzeci z kolei, roczny Kurs Fortyfikacyjny, na których grupa dwudziestu kilku starannie wyselekcjonowanych oficerów zapoznawana była z najnowszymi (i najtajniejszymi) prądami myślowymi, ideami i problemami tego działu służby saperskiej, nie wyłączając zagadnień praktycznych – technicznych i budowlanych.

Prawdopodobnie, w połowie lat dwudziestych kpt. Guderski ożenił się z Jadwigą Brzóska, absolwentką Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, która poszła w ślady ojca i specjalizowała się w pszczelarstwie. Dokładnej daty ich ślubu nie udało mi się ustalić.

* * *

Norbert Juchtman chciał kontynuować naukę w szkole średniej, ale w związku z tym, że w Kosowie Poleskim nie było szkoły średniej w 1927 r. wyjechał do odległej o około 50 km Prużany, gdzie zdał egzamin wstępny do IV klasy gimnazjalnej typu humanistycznego. Nie mamy informacji, czy zamieszkiwał tam, czy też dojeżdżał codziennie pociągiem normalno- i wąskotorowym, przez Iwacewicze i Orańczyce. Jakkolwiek rzeczy się miały, ojciec, widząc jego determinację, w 1928 r. na własną prośbę zrezygnował z państwowego etatu i przeniósł się do Krzemieńca, gdzie Norbert przez kolejne dwa lata (V i VI klasa) uczęszczał do słynnego Liceum Krzemienieckiego. Prawdopodobnie prywatna praktyka lekarska w Krzemieńcu nie była zajęciem wystarczająco dochodowym, gdyż w 1931 r. ojciec skorzystał z oferty ponownego objęcia posady lekarza powiatowego – tym razem

w Wierzbniku. W tym mieście nie było jednak szkoły średniej. W najbliższej, w Ostrowcu Świętokrzyskim, nie było wolnych miejsc, zaś w nieco odleglejszym Skarżysku-Kamiennej istniało jedynie gimnazjum przyrodniczo-matematyczne. Norberta czekał rok przerwy w nauce.

* * *

Po ukończeniu Kursu Fortyfikacyjnego w styczniu 1932 r., kpt. Guderski skierowany został na krótko do sztabu gen. dyw. Aleksandra Osieńskiego – Inspektora Armii, stacjonującego w Warszawie, ale kierującego przygotowaniem wojennymi w Wielkopolsce. Kpt. Guderski prowadził tam studia fortyfikacyjne, ale już w marcu 1932 r. skierowany został do linii – objął dowództwo kompanii w 2. batalionie saperów w Puławach. Na stanowisku tym również sprawdził się znakomicie, dodatkowo delegowany był do innych oddziałów i sztabów, czy to w celu wykonania „prac specjalnych” (czyli, zazwyczaj, fortyfikacyjnych), czy to w celu przeprowadzenia praktycznych szkoleń poligonowych.



Kasyno oficerskie w koszarach 2. batalionu saperów w Puławach, w którym mjr Guderski służył w latach 1932-1935. Większość zabudowań koszar była drewniana i obecnie już nie istnieje (fot. Sz. Kucharski).

Jedna z siostr Norberta Juchtmiana, po wyjściu za mąż, zamieszkała w Czechowicach (obecnie – Warszawa-Ursus). Na prośbę brata, rozpoznała sytuację w okolicznych gimnazjach i udało jej się znaleźć wolne miejsce w VII klasie Państwowego Gimnazjum im. Tomasza Zana w Pruszkowie. Norbert rozpoczął naukę w Pruszkowie 1 września 1931 r. Zamieszkał u siostry w Czechowicach, na swoje utrzymanie zarabiał, dając korepetycje, a do szkoły dojeżdżał pociągiem. Niewykluczone więc, że raz czy drugi minął się wówczas nieświadomie na peronie pruszkowskiego dworca z kapitanem Guderskim, który z pewnością co jakiś czas odwiedzał mieszkających w Pruszkowie rodziców.

Maturalna sesja egzaminacyjna w 1934 r. trwała przez maj i czerwiec. Abiturienta Norberta Juchtmiana profesorowie na pewno nie zaliczali do orłów [nie zgadzam się z opinią kolegi Szymona – jako młody człowiek ma prawo nie wiedzieć, że poziom nauki w gimnazjum i liceum im. Tomasza Zana był tak wysoki, że absolwenci z ocenami dostatecznymi byli przyjmowani z „otwartymi rękoma” na wyższe uczelnie – redakcja]. Z egzaminów maturalnych otrzymał on oceny następujące: religia – bardzo dobry, język polski – dostateczny, język łaciński – dobry, historia i nauka o Polsce współczesnej – dostateczny, matematyka – dostateczny. Ponadto, z przedmiotów nieobjętych egzaminem, otrzymał następujące oceny: język niemiecki – dobry, fizyka – dostateczny, propedeutyka filozofii – dostateczny, ćwiczenia cielesne – bardzo dobry, higiena – dostateczny, geografia – dobry.

Niemniej jednak, wystarczyło to, aby Państwowa Komisja Egzaminacyjna uznała go za dojrzałego do studiów wyższych i 30 czerwca wydała świadectwo maturalne typu humanistycznego. Na świadectwie tym widniała pieczęć pruszkowskiego gimnazjum i znajome nam autografy: przewodniczący Komisji – Leon Ostrowski (matematyka); członkowie – Stanisław Moczulski (łacina), ks. Emilian Skrzecz (religia), Stanisława Ostrowska (język

polski), Zofia Januszevska (język niemiecki), dr Stanisław Herbst (historia) [dr Herbst po wojnie został docentem a następnie otrzymał tytuł profesora, wykładał na UW – redakcja], Eugeniusz Zdanowski (chemia i fizyka). Norbert nie myślał jednak o studiach – zgłosił się na ochotnika do wojska i już od 2 lipca poddawał się cyklowi szczegółowych badań lekarskich w Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie, uzyskując orzeczenie: *zdolny do służby wojskowej w charakterze podchorążego bez zastrzeżeń*. Przez wakacje zgromadził niezbędne dokumenty, w tym referencje, potwierdzające jego niekaralność, lojalność państwową i patriotyzm, honorowość oraz nieuleganie nałogom – jedną z nich wystawił dyrektor „Zana” – Leon Ostrowski, a drugą wierzbnicki lekarz, zapewne znajomy rodziny – dr Stanisław Lamparski. Ojciec Norberta musiał dostarczyć poświadczoną notarialnie zgodę na naukę syna w szkole podchorążych i na swoją odpowiedzialność majątkową za ewentualne straty, przez syna spowodowane.



Koszary im. gen. Skierskiego w Słonimiu – miejsce służby mjr Guderskiego w latach 1935-1936. Obecnie zajmowane przez armię białoruską (fot. Sz. Kucharski).

W 1935 roku świeżo awansowany mjr Guderski objął dowództwo jednego z nowoformowanych oddziałów – Ośrodka Sapersko-Pionierskiego 20. Dywizji Piechoty w Słonimiu. Ośrodki te powstały w celu odciążenia batalionów saperów z zadań mobilizacyjnych a jednocześnie ściślejszego związania saperów z piechotą, na której korzyść mieliby działać podczas działań wojennych. Wybór mjr. Guderskiego mógł być nieprzypadkowy – w razie konfliktu zbrojnego ze wschodnim sąsiadem 20. DP miała przydzielony do obrony bardzo silnie ufortyfikowany rejon Nowogródczyny (schrony bojowe, przeszkody przeciwpancerne, jazy, zapory i spiętrzenia rzek, zniszczenia, pola minowe, a nawet pułapki z bronią chemiczną). Zrozumiałe więc, że saperzy tej dywizji mieliby pełne ręce roboty, a na ich czele nie mógł stać pierwszy lepszy oficer.

Po blisko dwuletniej służbie w Słonimiu, mjr Guderski otrzymał swój przedostatni przydział w przedwojennej Polsce – z końcem 1936 r. objął stanowisko Kierownika Studiów Saperskich w sztabie gen. dyw. Władysława Bortnowskiego – Inspektora Armii w Toruniu. Podobnie, jak wcześniej u gen. Osińskiego prowadził studia nad inżynieryjnym przygotowaniem terenu Pomorza do ewentualnej wojny. W ostatniej przedwojennej opinii czytamy: *dzielny oficer, opanowujący zupełnie powierzony mu dział pracy fortyfikacyjnej; jest doskonale przygotowany do służby technicznej w fortyfikacji stałej; obecnie nabiera technicznego doświadczenia i rokuje wyrobienie się na doskonałego fortyfikatora.*

* * *



Szkoła Podchorążych Saperów w Warszawie, w której por. Guderski do 1926 r. był wykładowcą, a ppor. Juchtman – absolwentem z 1937 r. (fot. Sz. Kucharski).

Norbert Juchtman został przyjęty 29 września 1934 r. na kurs unitarny Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej – 28 listopada złożył przysięgę wojskową. Kurs ukończył z postępem dostatecznym (średnia ocen: 5/10; lokata: 108/119) 15 lipca 1935 r., zakwalifikowując się jednocześnie do przyjęcia do Szkoły Podchorążych Saperów. Opinia dowódcy kompanii, kpt. Feliksa Malaka nie była porywająca: *Inteligencja mała, wyszkolenie dostateczne, fizycznie – dobrze rozwinięty, powolny, ociężały, mało energiczny, mało systematyczny, orientacja dostateczna. Koleżeński, towarzysko wyrobiony. Opieszwały w wykonywaniu rozkazów, w pracy potrzebuje stałego nadzoru. Zamiłowanie do służby wojskowej przeciętne. Zachowanie się – dość dobre. Ogólnie: dostateczny.*

W stan uczniów SPSap. strzelec podchorąży Juchtman został zaliczony 16 lipca 1935 r., a pięć dni później awansował na starszego strzelca podchorążego. 21 września został promowany na II rocznik, a 1 listopada awansowany na kaprała podchorążego. W trakcie nauki na II roczniku odbył praktyki liniowe w 4. batalionie saperów w Przemyśle (dwukrotnie, za każdym razem z opi-

nią bardzo dobrą) i 49. pułku piechoty w Kołomyi (szczegółowa opinia nieznana, ale pozytywna). Po drugim roku nauki przełożeni opiniowali go jako podoficera energicznego, ale zarozumiałego i niedbałego o porządek i wygląd osobisty, ospałego do nauki i pracy, koleżeńskiego, dostatecznie ambitnego i obowiązkowego, dobrze zdyscyplinowanego, bardzo odpornego na trudy fizyczne, sprawnego, sprężystego i postawnego, zasadniczo opanowanego nerwowo – jednak nie przy egzaminach, dostatecznego jako dowódca i instruktor, potrzebującego stałej opieki i twardej ręki. Zwracano jednak uwagę na fakt, że postawiony w warunkach osobistej odpowiedzialności potrafi dobrze wywiązać się z zadań, czego dowiódł podczas praktyk liniowych.

15 listopada 1936 r. Juchtman został promowany na III rocznik, a dzień później – awansowany na plutonowego podchorążego. Po ostatnim awansie podoficerskim, 1 sierpnia 1937 r. na sierżanta podchorążego odbył jeszcze jedną praktykę liniową w 4. batalionie saperów. Opinia końcowa nie była rewelacyjna, ale lepsza, niż przed rokiem. Przełożeni zauważyli jego większą ambicję, dość dobre umiejętności dowodzenia plutonem, samodzielność i zdolność wykazywania inicjatywy, a także to, że lubi towarzystwo i zabawy. Ogólnie uznano go za nadającego się na dowódcę plutonu, choć wymagającego jeszcze opieki przełożonego.

15 grudnia 1937 r. podchorąży Juchtman uzyskał upragnioną promocję oficerską i stopień podporucznika w korpusie osobowym inżynierii i saperów, ze starszeństwem z 1 października 1937 r. i lokatą 43/45. Na tak niską lokatę zapracował sobie, zbierając „imponującą” kolekcję jednej jedynej pochwały, za pracę na stanowisku wykładowcy w Wojskowej Szkole Inżynierii oraz ośmiu kar za drobne z reguły przewinienia (nieporządek, spóźnienia, nieusprawiedliwione nieobecności), które niestety, po zsumowaniu, znacząco obniżyły ostateczną punktację.



Koszary Zamoyskiego w Toruniu – ostatnie miejsce służby mjr. Guderskiego i ppor. Juchtmiana przed mobilizacją. Większość zabudowań obecnie już nie istnieje (zbiory Sz. Kucharskiego).

Jako świeżo upieczony oficer, ppor. Juchtmian został skierowany do 8. batalionu saperów, stacjonującego w Koszarach Zamoyskiego w Toruniu. Zameldował się tam (wraz z czterema innymi kolegami ze swojej promocji) 17 grudnia i otrzymał stanowisko dowódcy 3. plutonu 1. kompanii saperów. Jak każdy oficer, nabył broń krótką – był to pistolet Walther 7,65. Wynajął też mieszkanie w pobliżu koszar, przy ul. S. Klonowicza 37 m. 1. 23 stycznia 1938 r. po raz pierwszy został wyznaczony na oficera służbowego batalionu, a od 31 marca pełnił obowiązki oficera do spraw potrażeń prywatnych dla oficerów (nadzorował odliczanie poszczególnych kwot przez płatnika). Poza tym był wyznaczany do innych zadań, typowych dla funkcjonowania wojska w garnizonie pokojowym – 27 marca, przed uroczystą przysięgą, prowadził grupę rekrutów wyznania mojżeszowego na nabożeństwo w synagodze, w lipcu, podczas choroby dowódcy swojej kompanii, pełnił jego obowiązki, w październiku i listopadzie został tymczasowo prze-

sunięty na stanowisko dowódcy plutonu w 3. kompanii, a na 11 listopada został włączony do grupy oficerów, delegowanych na uroczystości w Warszawie. Jako ciekawostkę można dodać, że jego zarobki „na rękę” wynosiły wówczas 235,09 zł.

* * *

Majorowi Guderskiemu dane było wziąć udział w zajęciu Zaolzia jesienią 1938 r. Na czele Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk”, przeznaczonej do wykonania tego zadania, stanął gen. Bortnowski, zaś mjr Guderski został szefem saperów w jego sztabie. Do jego obowiązków należało kierowanie inwentaryzacją i sporządzenie obszernego raportu, dotyczący przejętych czechosłowackich fortyfikacji i sprzętu inżynieryjnego. Pod jego dowództwem saperzy postawili most pontonowy na Olzie pod Kopytowem. Dzięki powstałej w ten sposób przeprawie, Wojsko Polskie jako pierwsze zajęło i utrzymało Bogumin – ważny ośrodek przemysłowy i węzeł komunikacyjny, na który również Niemcy ostrzyli sobie zęby (pamiętać należy, że w okresie rozbiorów Czechosłowacji granica między zaborem niemieckim, polskim, węgierskim, a niepodległą formalnie Słowacją ustalała się właściwie na bieżąco, z dnia na dzień). Po zakończeniu akcji, 29 listopada, mjr Guderski został wyłączony ze składu osobowego sztabu gen. Bortnowskiego i objął stanowisko zastępcy dowódcy 8. batalionu saperów w Toruniu.

* * *

W ten sposób, losy obu naszych bohaterów ostatecznie się splotły; ppor. Juchtman stał się podwładnym mjr. Guderskiego. Po przesłużeniu nieco ponad roku na swym pierwszym stanowisku, ppor. Juchtman został 24 stycznia 1939 r. dowódcą plutonu kompanii szkolnej swojego batalionu, co wiązało się z wyższym dodatkiem służbowym – odtąd, co miesiąc otrzymywał około 270 zł.

Oczywiście, znacznie bardziej dochodowe, ale i odpowiedzialne, było stanowisko mjr. Guderskiego, który zarabiał około 540 zł miesięcznie. Dodać można, że w styczniu 1939 r. mjr Guderski wziął udział w szczegółowym (trwającym tydzień) omówieniu akcji zaolziańskiej, jakie odbyło się w Warszawie.

W obliczu narastającego zagrożenia niemieckiego, marsz. Edward Śmigły-Rydz zwołał 23 marca odprawę wyższych dowódców, na której wręczył nominację na dowódców armii. Jednym z ich zadań miało być ufortyfikowanie przyszłego terenu operacyjnego. Gen. Bortnowski, który został dowódcą Armii „Pomorze”, wystarał się o przydział mjr. Guderskiego, który, pozostając w składzie osobowym 8. bsap, rozpoczął prowadzenie „prac specjalnych” na Pomorzu. Prawdopodobnie już od końca marca, pod kierownictwem majora, saperzy rozmieszczali 10 ton trotylu w komorach minowych tczewskich mostów i łączyli je kablami elektrycznymi z dwoma centralami minerskimi – jedną w zachodnim przyczółku mostowym, drugą w schronie na terenie stacji. Aby nie wzbudzić podejrzeń Niemców, saperzy pracowali w mundurach kolejarskich i ubraniach cywilnych, pozorując remont mostów.

W tym samym czasie, ppor. Juchtman zajmował się działalnością może mniej efektowną, ale nie mniej ważną. Stany osobowe batalionów saperów i ośrodków sapersko-pionierskich poważnie wzmocniono, powołując na ćwiczenia liczne rzesze rezerwistów. Oficerowie kompanii szkolnej mieli więc pełne ręce roboty – wobec zagrożenia wojną, istotne stało się szybkie i sprawne przekazanie jak najszerzej wiedzy i umiejętności jak najliczniejszym zastępom saperów. Niemalym zaszczytem dla ppor. Juchtmana było z pewnością wyznaczenie go do składu kompanii chorągwianej na defiladę z okazji Święta Konstytucji 3 Maja. Wkrótce – drugie wyróżnienie – 8 czerwca wyznaczono go dowódcą plutonu saperów, uczestniczącego w procesji z okazji Bożego Ciała.

Przeszkoleni saperzy kierowani byli do formowanych od połowy kwietnia batalionów saperów o stanach wojennych, używa-

nych do przygotowania zniszczeń i budowy fortyfikacji. Najpóźniej z końcem maja, mjr Guderski otrzymał stanowisko dowódcy świeżo zmobilizowanego 15. batalionu saperów, który przeznaczony był do składu 15. Dywizji Piechoty (dowódca – gen. bryg. Zdzisław Przyjałkowski). Na jego czele przystąpił do umacniania rozległej rubieży, biegnącej po przedmieściach Bydgoszczy i otaczającej to miasto półkolem. Pozycję tę, wzmocnioną fortyfikacjami drewniano-ziemnymi i żelbetowymi nazwano Przedmościem Bydgoskim, jako że osłaniała mosty na Brdzie, Kanale Bydgoskim i na Wiśle w Fordonie.



Jeden z kilkunastu schronów bojowych na Przedmościu Bydgoskim, wzniesionych przez 15. bsap mjr. Jana Guderskiego (fot. Marek Wrocławski).

Ostatni zachowany rozkaz dzienny 8. batalionu saperów pochodzi z 30 czerwca – ppor. Juchtmann był wówczas jeszcze na swoim stanowisku w garnizonie. Z relacji wiadomo jednak, że wkrótce został skierowany do Tczewa wraz z plutonem saperów, wydzielonym z 15. batalionu saperów majora Guderskiego. Pluton podporządkowano ppłk. Stanisławowi Janikowi, dowódcy

tczewskiego 2. batalionu strzelców i jednocześnie Oddziału Wydzielonego „Tczew”. Zadaniem plutonu była opieka nad instalacjami minowymi mostów tczewskich, ewentualne naprawy jej uszkodzeń, a w razie konieczności – dokonanie dzieła zniszczenia mostów.

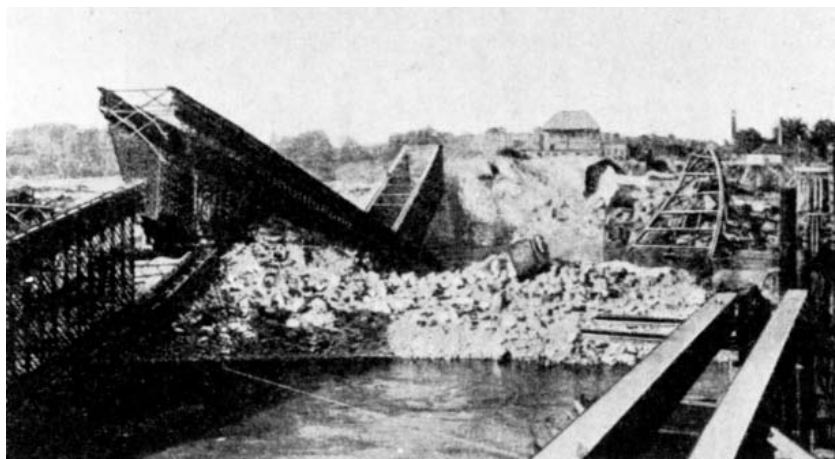


Koszary 2. batalionu saperów w Tczewie, gdzie przez ostatnie tygodnie pokoju stacjonował ppor. Juchtmann ze swoim plutonem (fot. Sz. Kucharski).

Wojna przyszła do Tczewa bardzo wcześnie. 1 września, już około 4:43 niemieckie Stukasy z I dywizjonu 1. pułku bombowców nurkujących z Elbląga obrzuciły bombami most (poza tym – koszary, dworzec kolejowy i samo miasto), licząc na zerwanie przewodów elektrycznych, łączących centralę minerską z komorami minowymi. Ryzyko było oczywiście duże – nieprecyzyjnie zrzucona bomba mogła trafić w komorę minową, powodując detonację i zniszczenie mostu. Nalot udał się jednak całkowicie – przewody zostały zerwane. Niemcy znali mosty dość dobrze, gdyż w końcu sami je budowali, a na krótko przed wojną niemieccy oficerowie przejeżdżali często przez Tczew w cywilu, jako „turyści”, starając się rozpoznać urządzenia obronne, przygotowane przez Polaków.

Taktycznego sukcesu nie udało się jednak im wykorzystać, gdyż piechota i saperzy, którzy jechali od strony Malborka z zadaniem opanowania mostów, nie dość, że spóźnili się (polscy kolejarze w Szymankowie skierowali towarzyszący im pociąg pancerny na ślepy tor, za co potem Niemcy wymordowali ich wraz z rodzinami), to jeszcze zostali zatrzymani na wschodnim brzegu Wisły celnym i skutecznym ogniem polskiego plutonu strzelców, obsadzającego wschodni przyczółek mostowy.

Dzielna postawa załogi przyczółka (której dowódcą był ppor. Walenty Faterkowski, zmarły 7 kwietnia br. w wieku 101 lat, jako prawdopodobnie ostatni z obrońców Tczewa) pozwoliła saperom ppor. Juchtmana zyskać czas i naprawić wszystkie uszkodzenia. Wobec nasilającego się nacisku Niemców ppłk Janik wydał rozkaz ewakuacji wschodniego przyczółka i wykonanie I fazy zniszczeń mostów. Kilka minut po 6:00, potężny wybuch zmiotł z powierzchni ziemi zachodni przyczółek oraz pierwszy i trzeci filar mostu, stojące na suchym o tej porze roku tarasie zalewowym Wisły. Dzieła dopełniono o 6:45 – II faza zniszczeń polegała na wysadzeniu filarów nurtowych i zachodniego przyczółka.



Mosty tczewskie po wysadzeniu.

Zgodnie z rozkazami, po wykonaniu zadań, pluton saperów miał zostać odesłany do Torunia i dołączyć do swego macierzystego 15. batalionu saperów. Do ppłk. Janika zgłosił się jednak dyrektor placówki Banku Polskiego z prośbą o przydzielenie eskorty do transportu pieniędzy do Torunia. Podpułkownik Janik wyznaczył do tego zadania pluton ppor. Juchtmana oraz dwa stare czołgi typu Renault FT-17.

Pluton ppor. Juchtmana szczęśliwie dotarł do batalionu mjr. Guderskiego, nie znamy jednak szczegółów jego działań bojowych. 15. Dywizja Piechoty opuściła Przedmoście Bydgoskie wieczorem 3 września, a kolejne, szybko zmieniające się rubieże obronne nie sprzyjały prowadzeniu poważniejszych prac saperских. W czasie Bitwy nad Bzurą dywizja kroczyła w ariergardzie, osłaniając tyły polskiego ugrupowania. 16 września dotarła do Bzury w rejonie Sochaczewa, gdzie gen. Przyjałkowski wydał saperom rozkaz budowy możliwie największej ilości przepraw. Rozległa i bezleśna dolina rzeki stała się miejscem zagłady szeregu polskich oddziałów, widocznych jak na dłoni, więc bezlitośnie dziesiątkowanych przez niemiecką artylerię i lotnictwo. Wieczorem 17 września, na punkcie zbornym w Palmirach, zebrało się zaledwie 1500 żołnierzy 15. Dywizji Piechoty. Po reorganizacji dowódca zdecydował o przebijaniu się przez Sieraków, Laski i Wawrzyszew do Warszawy – nieodległej, ale otoczonej szczelnym pierścieniem niemieckiego oblężenia. Podczas tych bojów, 18 września mjr Guderski został kontuzjowany w głowę. Plan, mimo przeszkód, udało się wykonać i 21 września resztki 15. DP zasiłkiły odcinek obronny „Warszawa-Zachód”.

Obrona Warszawy była prowadzona w sposób aktywny – wojska niemieckie były nękane wypadami. Prawdopodobnie podczas jednego z takich bojów, 22 września w rejonie Łomianek, poległ ppor. Juchtman. Niestety, dokładne okoliczności jego śmierci nie są znane.



Grób ppor. Norberta Juchtmiana.

Po kapitulacji Warszawy mjr Guderski został przewieziony do oficerskiego obozu jenieckiego Oflag IIc w Woldenbergu, gdzie przebywał do 1945 r., uczestnicząc aktywnie w obozowej konspiracji. W obliczu zbliżającego się frontu Niemcy ewakuowali grupę jeńców do Pappenburga, gdzie mjr Guderski doczekał końca wojny i podjął pracę w utworzonym tam obozie repatriacyjnym.

Sam powrócił do kraju przez Szczecin 30 lipca 1947 r. i zamieszkał wraz z żoną w Łomiankach

(mieszkający tam również jego teść, Stanisław Brzóska, piastował stanowisko Przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w pobliskich Młocinach). 1 listopada podjął pracę w Zjednoczeniu Przemysłu Drzewnego jako kierownik Wydziału Zaopatrzenia, jednak już po miesiącu przeniósł się do Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego, gdzie otrzymał stanowisko naczelnika Wydziału Sprzętu. Prawdopodobnie po raz ostatni zmienił posadę 1 grudnia 1949 r., gdy został starszym inspektorem Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego w Warszawie. Wstąpił do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, był również członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Ligi Przyjaciół Żołnierza.

Jak większość przedwojennych oficerów, także i mjr Guderski zgłosił się ochotniczo do Wojska Polskiego. Nie przyjęto go jednak do służby czynnej, a w dokumentach z prowadzonej w 1950 r. tzw. „weryfikacji” czytamy: *Czekając na zmianę sytuacji politycznej w kraju – ociąga się z powrotem do 47 r. W pracy zawodowej – pozytywny. Obecnie członek S.L. – co należałoby tłumaczyć karierowiczostwem. Ze względów politycznych wskazana jest jego izolacja od odrodzonego Wojska Polskiego – nieprzydatny.* 30 grudnia 1950 r. został przeniesiony do rezerwy, a 2 maja 1955 r. – skreślony z ewidencji wojskowej wskutek przekroczenia granicy wieku.

Major Jan Guderski zmarł 16 grudnia 1961 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Łomiankach-Kiełpinie, w grobie rodzinnym. Gdyby nie wysokie drzewa, zasłaniające widok, stając przy nagrobku mjr. Guderskiego, można by dostrzec grób ppor. Norberta Juchtmana, położony we wrześniowej kwaterze wojennej.



Grób mjr. Jana Guderskiego i jego rodziny.

Major Guderski podczas swojej służby, oprócz licznych pochwał, odznaczony został Medalem Niepodległości (1931; za działalność w PDS i POW), zamienionym następnie na Krzyż Niepodległości (1934; za walki w III Powstaniu Śląskim), Śląskim Krzyżem Waleczności i Zasługi (data nieustalona; za to samo), dwukrotnie Krzyżem Walecznych (1921 i 1939; za prace fortyfikacyjne pod Ciechanowem w 1920 r. oraz za całokształt działań w 1939 r.), dwukrotnie Srebrnym Krzyżem Zasługi (1925 i 1934; za bieżące, wybitne wyniki służby) oraz Złotym Krzyżem Zasługi (1939; za akcję zaolziańską), a także medalami pamiątkowymi: Za Wojnę 1918-1920 i Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości (oba w 1928).

Podporucznik Juchtmann nie posiadał żadnych odznaczeń. Major Guderski wnioskował wprawdzie o pośmiertne odznaczenie – Virtuti Militari albo chociaż Krzyż Walecznych dla swojego poległego młodszego kolegi, ale wnioski te nigdy nie zostały uwzględnione.



Obecny widok najstarszych zachowanych prześel czestochowskich mostów.

Bibliografia:

Archiwum Muzeum Marynarki Wojennej (Gdynia):

Stanisław Janik: *Relacja o organizacji i działaniach bojowych 2 Batalionu Strzelców z Tczewa w kampanii wrześniowej 1939 r.*, sygn. 832R;

Stanisław Janik: *Relacja z udziału 2 Batalionu Strzelców z Tczewa w kampanii wrześniowej 1939 r.*, sygn. 796R.

Centralne Archiwum Wojskowe (Warszawa):

Jan Guderski – akta personalne i odznaczeniowe, sygn. AP 1070, TAP 769/61/20, KZ 6-973.

Norbert Juchtman – akta personalne, sygn. AP 753, AP 6186.

8. batalion saperów – rozkazy dzienne z lat 1937-1939, sygn. I.325.11.

Opracowania i relacje publikowane:

Ciechanowski Konrad: *Armia Pomorze 1939*, Warszawa 1983.

Cutter Zdzisław Józef: *Saperzy II Rzeczypospolitej*, Kraków-Warszawa-Wrocław 2005.

Emmerling Marius: *Luftwaffe nad Polską 1939, część III, Stukaflieger*, Gdynia 2006.

Głowacki Ludwik: *Obrona Warszawy i Modlina na tle Kampanii Wrześniowej*, 1969.

Massel Andrzej, Malinowski Maciej: *Mosty na Wiśle w Tczewie*, [w:] „Świat Kolei”, nr 5/2001.

Rommel Juliusz: *Za Honor i Ojczyznę*, Warszawa 1958.

Ziółkowski Andrzej: *1 września 1939 r. – Fiasko Planu „Dirschau” – Tym, którzy to uczynili...*, [w:] „Do Broni!”, nr specjalny 2/2009.

Butenko od przodu i tyłu

Poznaliśmy się wiosną 1945 roku, kiedy wszystkie komplety tajnego nauczania w Pruszkowie kumulowano w normalnie funkcjonujące gimnazjum, mające kontynuować tradycje dobrej przedwojennej szkoły. Wszyscy bodaj uczniowie powstałego w ten sposób gimnazjum i liceum znali się już ze sobą gorzej lub lepiej, ale on był nowy, jako że do Pruszkowa przybył dopiero na początku wojny z rodzinnej Bydgoszczy. Był to wysoki, wysportowany chłopak o długich nożyskach, który z gromady rówieśników wyróżniał się manierami. Szybko dał się poznać jako nieprzeciętny kawalarz i wesołek. Wesołków w klasie nie brakowało, on jednak miał specyficzne poczucie humoru – bardziej dyskretne i ścicha pękł. I miał godną podkreślenia cechę szczególną: w ogóle nie używał słów wulgarnych i przekleństw. Kłaniała się kindersztuba. Chłopak szybko się wtopił w społeczność klasową, a jego ławka stała się jedną z najweselszych w klasie. Któryś z kolegów nazwał go Bodziem i tak już zostało do końca nauki w szkole Zana.

Bodzio zdobył się na rzecz bardzo niezwykłą – zaczął wydawać gazetkę klasową, której sam tytuł zapowiadał, że nudna nie będzie: „Kociokwik”. W szkole była już szkolna gazетка ścienna: „Krok Naprzód”. O ile pamiętam, redagował ją Karol Źarski a później Zosia Gawor. Bardzo poprawne i przykładowe wydawnictwo, które w pewnym momencie usiłował rozruszać Marek Rawicz-Zakrzewski, niefortunny autor podejrzanej o obsceniczność piosenki „Była u Zana rzecz niesłychana...” „Kociokwik” pod każdym względem od „Kroku” się różnił. Była to już przede

wszystkim normalna gazetka formatu A 4, wydawana w nakładzie, który nie porażał – pięciu czy sześciu egzemplarzy, odbijana na maszynie. Próba wykonania na raz większej ilości odbitek odbywała się ze szkodą dla tekstu i maszyny. W tym znakomitym czasopiśmie jego redaktor ośmieszał różne zachowania klasowych kolegów i zjawiska, które chciał zwalczać, jak na przykład schorzenie zwane demitetyzmem. Oczywiście to z francuskiego, on jeden w klasie chodził na francuski.

Początkowo nic nie zapowiadało jego późniejszych zainteresowań plastycznych i artystycznych. Po zaliczeniu gimnazjum przeszedł do liceum typu matematyczno-przyrodniczego i, o ile pamiętam, po maturze wybierał się na chemię. Ja chodziłem do klasy humanistycznej. Rysunki mieliśmy wspólne. Uczył ich niezapomniany pan Prusak, typ franciszkański, czyli chodząca dobroć, który dawał uczniom dużą (zbyt dużą) swobodę. Przyszły artysta plastyk był na tych lekcjach obibokiem, co się zowie, który po dwóch latach nauki mógł się wykazać jednym jedynym kiepsciutkim rysunkiem. Nic dziwnego że na studniówce w żartobliwych żurawiejkach śpiewano:

Biedzi się pan Prusak, wielki ma frasunek
Czemu u Piskorskich wciąż ten sam rysunek.
Jak roku zeszłego, tak i roku tego
U jednego szafa, gruzu u drugiego.

Byliśmy znani jako Genek i Walerek Piskorscy, których imiona i nazwisko zostały zapożyczone z powieści satyrycznej Stanisława Wiecheckiego alias Wiecha „Café pod Minogą” którą wtedy drukował „Przekrój”.

Choć wiele nas różniło, łączyła nas jedna miłość: rower. I on i ja przepadalśmy za wypadami z miasta, wycieczkami w gronie mniejszym lub większym. Początkowo były to niewinnie krót-

kie spaceru, od Kampinosu po Łazy. Później zrobiły się z tego dłuższe wyprawy, nawet kilkudniowe. W czasach powojennego zamieszania, toczącej się ciągle cichej wojnie domowej, ogólnej mizarii i niedostatków były to przedsięwzięcia niełatwe, czasem nieco ryzykowne, a ekwipunek – pożałuj Boże – prymitywny i nieporęczny. Nie mając przede wszystkim namiotu, zatrzymywaliśmy się w gospodarstwach na wsiach u chłopów. Nocleg w stodole, na słomie lub sianie nie był wcale taki zły. Pamiętam, że kiedyś pod Bodzentynem u stóp Łysicy, gościł nas u siebie gospodarz nazywający się Cedro. Nie słyszał nigdy o Żeromskim. Bohdan we wszystkich tych eskapadach wykazywał podziwu godny hart, odporność oraz zamiłowanie do przygód, co czyniło z niego doskonałego partnera na wszelkie okazje. Te wyprawy rowerowe trwały aż do matury. Ich ukoronowaniem była wielka pomaturalna wycieczka rowerowa w Góry Świętokrzyskie, tym razem w czwórkę (był z nami Antek Majewski i Zdzich Chyliński) Wylądowaliśmy w świętej Katarzynie i natychmiast postanowiliśmy wspiąć się na Łysicę. Gdy dotarliśmy na szczyt, wysapując zmęczenie, u stóp starych osmalonych piorunami jodeł, nasz wzrok skierował się na południe. Mówiono bowiem, że przy dobrej pogodzie widać jest stąd Kraków. Wpatrywaliśmy się więc jak urzeczeni w daleki horyzont aż świeczki w oczach stawały i oczywiście daremnie, bo gołym okiem można coś dojrzeć na 20 – 40 kilometrów, a tam był dystans trzy razy dłuższy. I wtedy któryś z nas powiedział: „A może byśmy tam pojechali?” I w jednej sekundzie jednogłośnie zdecydowaliśmy: Oczywiście, jedziemy. I pojechaliśmy, choć to było zupełnie niezaplanowane. Żaden z nas nie był przedtem w Krakowie, przeżyliśmy więc wspólne wielkie oczarowanie. Właśnie obchodzono tak zwane Dni Krakowa, jeden wielki festiwal. Nie na wszystkie mogliśmy sobie ze względów materialnych pozwolić, ale śpiewogry „Igrce w gród wałą” ułożonej przez Adama Polewkę na wzór występu średniowiecznych rybaków, nie odpuściliśmy. Niezapomniane było to nocne widowisko w murach Barbakanu rozświetlonego

pochodniami. O innych przygodach nie wspomnę, tym bardziej że mieszają mi się nasze eskapady. Czy to wtedy przyszło nam obozować na arkadowym dziedzińcu zamku w Pieskowej Skale? W całym romantycznym zamczysku byliśmy tylko my i starowina cieć. Opowiadał jak w sierpniu 1914 roku na tymże podwórku biwakowali legioniści Piłsudskiego. Jak całą noc palili ognie, śpiewali piosenki strzeleckie, jak pokrzykiwali czupurnie: „Hajda na Moskała”.

Po maturze moje kontakty z Bohdanem już się nieco rozluźniły. On trafił do Wyższej Szkoły Sztuk, która wkrótce została włączona do Akademii Sztuk Pięknych. Zdaje się że już w czasie studiów zwrócił uwagę swym talentem. Szancer był uczniem Józefa Mehoffera, który z kolei studiował między innymi u mistrza Jana Matejki. Daje to memu przyjacielowi asumpt do twierdzenia, że pośrednio też jest uczniem Matejki. W roku 1955 zrobił dyplom *summa cum laude* u profesora Jana Marcina Szancera. W tym samym roku ożenił się z Pruszkowianką, Mirą Żegilewicz, młodszą siostrą naszej klasowej koleżanki. Stworzyli przykładną rodzinę i są nią do dnia dzisiejszego.

Pracę zawodową rozpoczął jako redaktor w „Naszej Księgarni” – jak się okazało trafił dobrze. „Nasza Księgarnia” wydawała wiele książek dla dzieci. Wydawała ona też periodyczne wydawnictwa dziecięce: „Miś”, „Świerszczyk”, „Płomyczek” i „Płomyk”. Bohdan wszedł w to jak burza. Jego prace ze swoją pomysłowością i poczuciem humoru i wdziękiem w krótkim czasie podbijają serca wszystkich, młodych i starszych. Wkrótce staje się rozpoznawalny; wykreowana przez niego postać Gapiszona – chłopczyka w czapce z pomponem, stała się niejako jego znakiem firmowym. Agnieszka Osiecka opowiadała, że widziała jak do sklepu z materiałami tekstylnymi przyszli jacyś państwo i pani na widok wesołej tkaniny z charakterystycznymi obrazkami, zakrzyknęła: „Patrz, to Butenko”. Na co sprzedawczyni z wielką godnością: „Nie proszę pani, to prawdziwy len”.

Ujawniła się też druga jego cecha (nie miałem o niej przedtem pojęcia), która obok talentu umożliwia wielką karierę – pracowitość. Oprócz pracy – powiedzmy – nurtu głównego, podejmuje szereg innych zajęć, chwyta różne inne zamówienia i okazje, jest niezmordowany. Pracuje w telewizji (scenografia w prestiżowym Kabarecie Starszych Panów o której powie, że była jego nobilitacją). Pracuje w filmie i w teatrze. Robi plakaty i różnego rodzaju ilustracje, jest dekoratorem wnętrz. Poza tym jest scenarzystą, projektantem lalek i dekoracji dla teatrów lalkowych. Współpracuje z czasopismami i dziennikami w Polsce i za granicą. Jego książki pełne są różnego rodzaju sztuczek i figielków technicznych, stanowiących trudne wyzwanie dla wydawców. Każda stanowi konsekwentną, całościową koncepcję plastyczną. Niejednokrotnie łączy rysunek z innymi elementami graficznymi, jak fotografia i kolaż. Czego on w ogóle nie robił, jakich prób nie podejmował? W pamięci mam jego pejzaże greckie – obrazeczki ciągnięte ascetyczną kreską, według mego wyobrażenia prześlizgnięte małe arcydziełka. Poczta Polska, postacie Gapiszona, Kwapiszona, Gucia i Cezara uwieczniła na znaczkach pocztowych.

Po latach powiedział dziennikarzowi: *Kiedy zacząłem robić pierwsze ilustracje do książek, były obawy, czy to nie za daleko posunięta fantazja, czy będą zrozumiałe dla dzieci. Zrobiono więc eksperyment – pani redaktor wzięła tekst, rysunki i pojechała do szkoły, do odpowiednich wiekowo dzieci. I o czym się przekonała? Okazało się, że moja fantazja, uznawana za wybujałą i przesadną, jest właściwie bardzo skromną fantazją w porównaniu z fantazją dziecięcą.*

Stał się sławny i popularny – w kraju i za granicą. Pierwsi dostrzegli go bodaj Japończycy. W Tokio miał – o ile mi wiadomo – trzy wystawy. Wystaw na całym świecie miał zresztą całę mnóstwo, czasem były to wernisaże, warsztaty, targi, spotkania. Stale gdzieś jeździ, choć zdołał już oblecieć świat cały. W latach 1990–2011 pełnił funkcję prezesa Fundacji Świat Dziecka, której był współzałożycielem. Opracował projekt statuetek Donga, przy-

znawanego artystom przez tę instytucję¹. Autor plakatów, filmów animowanych i żartów rysunkowych. W 2003 r. był nominowany do Nagrody Pamięci Astrid Lindgren. Nieustannie wychodzą wciąż książki opracowane przez niego graficznie (to coś więcej niż ilustracje w tekście). Książki zarówno swoje jak i cudzego autorstwa. Cała góra książek. Parę lat temu ktoś próbował je zliczyć. Wynik – 250 tytułów. Jak mu na to starcza czasu i energii, to jego tajemnica. Przy tym wszystkim jest nieprawdopodobnie, aż nieprzyzwoicie skromny, dystyngowany, powściągliwy. Dżentelmen w każdym calu – podziwiany, lubiany, kochany. Mimo przebytych lat wciąż aktywny i żywotny (Na psa urok!) po dziś dzień.

Artysta chętnie spotyka się z dziećmi, zwłaszcza małymi. Organizuje dla nich warsztaty. Powiada: „Dla mnie to sprawdzian propozycji ilustratorskich, a dla nich – możliwość rozwinięcia niezwykłych pomysłów. Nie nauczę nikogo rysować w ciągu godziny, ale mogę pobudzić wyobraźnię, zanim nie zostanie zdeptana przez szkołę, gdzie dziecko dowie się, że niebo musi być zawsze niebieskie, słońce – żółte, a trawa – zielona.”

W roku 2011 za działalność na polu kultury został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. A 25 czerwca 2012 r w Lublinie odbierał Order Uśmiechu. Przyznała mu go Międzynarodowa Kapituła na wniosek dzieci z Lublina i Poniałowej. Do tej pory nagrodzono tym pięknym odznaczeniem 939 osoby z 40 krajów świata. Wśród odznaczonych jest Jan Paweł II, Dalajlama, Matka Teresa z Kalkuty, Tove Janson – twórczyni Muminów, Astrid Lindgren – autorka książek o Pippi Langstrumpf, królowa Szwecji Sylwia, prezydentowa RP Jolanta Kwaśniewska, pisarka Ewa Szelburg – Zarembina, piosenkarki Majka Jeżowska i Eleni, Marek Kotański – twórca Monaru, Andrzej Kieruzalski – twórca Zespołu „Gawęda”, nasz ksiądz Jan Twardowski i inne znakomitości. Na uroczystość odbywającą się w teatrze lubelskim stawili się tamtejsi oficjele i wielopokoleniowy tłum fanów. Pani Maria Kolago, sekretarz prasowy Międzynarodowej Kapituły Orderu mianując go Rycerzem Uśmiechu, trzykrotnie uderzyła jego

ramię różą gestem stosowanym na dworze króla Artura. Wypowiedziała przy tym ceremonialną formułkę i podała mu kieliszek soku wyciśniętego z cytryny czy limonki, który musiał wypić. Bohdan nie znosi oficjalnych uroczystości i wszelkich podniosłych ceregieli, więc przekornie wypił kielich z nieskazitelnym uśmiechem i powiedział: „O, to było świetne”, czy coś w tym rodzaju.



Moje wspomnienia z lat międzywojennych, wojny i nie tylko...

Z Tworkami byłam związana od najmłodszych lat. Z tej starej dzielnicy miałam koleżanki i kolegów, bo tam chodziłam do szkoły powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego. Dlaczego tam? Mieszkałam blisko kościoła pw św. Kazimierza a szkoła im. Tadeusza Kościuszki była bliżej niż ta, do której zapisali mnie rodzice. Może sentyment... Do szkoły im. Stanisława Żółkiewskiego chodziła moja siostra i bracia. Opowiadali o nauczycielach – pamiętam opowieści o młodym panu Szewczyku i jego miłości do przyszłej żony... Uczniowie szkoły Żółkiewskiego i Piłsudskiego



sadzili drzewa od mostu nad Utratą w stronę szkół. Uczniowie szkoły Żółkiewskiego po prawej stronie, Piłsudskiego – po lewej. Było to prawdopodobnie w 1925 lub 1926 roku. Siostra moja pokazywała mi swoje drzewo.

Była dumna, że tak pięknie rośnie. Siostra moja nie żyje już dawno – jej drzewo stoi i ma się dobrze... Przyszłam do drugiego oddziału i mimo, że byłam nowa, szybko zawarłam przyjaźnie, które przetrwały całe życie. Niestety wiele moich koleżanek ze szkoły powszechnej już nie żyje... Pierwsza zmarła, mając lat czternaście Janka Rosiakówna, która wraz ze swoją krewną Zenią siedziały w ławce przede mną. Moją przyjaciółką i koleżanką z ławki była Janka Osińska, zwana przez księdza Bujalskiego „Beznoską”.

Nosek jej był duży i do jej ładnej buzi nie bardzo pasował, no ale nasz prefekt był dowcipny i lubił pożartować. Był wyjątkowo serdeczny wobec nas, czuliśmy, że te żarty są dowodem sympatii w stosunku do nas, potrafił odpowiedzieć na nasze trudne pytania – wtedy traktował nas poważnie.

Janeczka bardzo ładnie rysowała. Mam jeszcze jej rysunek. Zmarła w czasie Powstania – miała 18 lat. Zosia, mająca włosy zawsze w nieładzie, zakończyła swe młode życie jeszcze wcześniej, przed Janeczką. Potem pożegnałam Halszkę, pisała wiersze – całe życie chciała wstąpić do klasztoru – życie zakończyła, jako panna – do klasztoru nie wstąpiła, Renia (Irena) – z nią byłam całe lata związana najbardziej. W szkole średniej (tajnej) mówiono o nas „osobno – to dwa aniołki – razem, to jeden, wielki diabeł” (rzecz prosta – w obu stwierdzeniach było wiele przesady) – ją też pochowałam. Mama jej, nasza wychowawczyni w klasach 2-4 dożyła 90 lat, by być na pogrzebie swojej jedynej córki. Na szczęście miała dwóch wnuków. Gdy ją odwiedzałam, nie bardzo orientowała się, czy ja to ja, czy Renia... Zmarła półtora roku po córce.

Jeszcze mam koleżanki z tej klasy, która zakończyła szósty oddział w 1939 roku. Część uczniów zdawała do gimnazjum im.



Szósty oddział szkoły powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego. W pierwszym rzędzie od lewej: profesor Rzeszewski, prof. Szewczyk, prof. Sauter, prof. Dajczer, prof. Szewczykowa, pani Rudniewska.

Tomasza Zana część do innych szkół, a byli i tacy, którzy mieli uczęszczać do siódmego oddziału.

Przykro było się żegnać ze szkołą, koleżankami (te najbliższe sercu dostały się do Zana) i z nauczycielami. Wszyscy byli naprawdę wspaniali; Kierownik szkoły – pan Julian Sauter uczył nas historii. Możliwe, że moją miłość do tej dziedziny nauki zawdzięczę właśnie jemu. Był Niemcem, ale miał obywatelstwo polskie i mimo przykrości ze strony Niemców, długo nie chciał przyjąć obywatelstwa niemieckiego – uległ wreszcie, nie wiem, czy pod wpływem żony i córek, czy groźby ze strony Niemców (Jego syn pozostał Polakiem – mieszkał do śmierci w Piastowie – był pastorem). Sądzę, że nasz kierownik, pan Sauter, przeżył osobistą tragedię. Kiedyś zobaczyłam go przez okno kolejki EKD – to nie był ten sam elegancki, dobrze wyglądający, pogodny nauczyciel, którego znałam...

Wychowawców miałam dwoje pani Helena Korzeniewska, polonistka, przeszła w roku 1937 do nowej szkoły im. Henryka

Sienkiewicza, w klasie piątej i szóstej prowadził naszą klasę pan Wawrzyniec Szewczyk – uczył nas geografii – kazał nam na ślepej mapie (na takiej mapie nie było żadnych nazw) wędrować po całym świecie do wyznaczonego przez siebie celu. Pan Szewczyk został aresztowany i z grupą 30 pruszkowiaków rozstrzelany na Pawiaku. Jego żona, też nauczycielka, bardzo przeżyła tragiczną śmierć męża. Opiekowała się nią jej córka Krysia (chodziła ze mną do szkoły powszechnej i średniej – dzisiaj śmiejemy się, że nigdy nikt na liście nas nie rozdzielił: Szewczyk – Szymańska). Po odejściu pani Korzeniewskiej uczyła nas polskiego wspaniała pani Maria Zielińska. Tak, jak jej poprzedniczka, zwracała uwagę na ładne wysławianie się, uczyła też gramatyki. Chyba jej (nie mówię o moim rodzinnym domu, w którym wszyscy mówili piękną polszczyzną) zawdzięczam to, że nigdy nie miałam kłopotów z gramatyką, gdy zaczęłam się uczyć języków klasycznych: łaciny i greki. Zachęcała nas do pisania artykułów do pisemka, które redagowała całe lata. Szkoda, że nie wiem, co się z tymi naszymi pracami stało. Rachunków uczył pan Rzeszewski. Wyjaśniał tajniki tej wiedzy tak, że wydawała się zupełnie łatwa. Zginął, zamordowany w obozie niemieckim. Rysunków uczył nas pan Henryk Dajczer, który po wyjeździe pana Sautera pełnił funkcję kierownika szkoły. Śpiew – to była domena pana Czesława Lubańskiego. Pamiętam te piosenki, których nas uczył: były patriotyczne np. o bohaterstwie pułkownika Lisa-Kuli, czy o Piłsudskim, czy Śmigłym-Rydzem, były też o radiu, o dzieciach, Dorotce, o zabawach w zimie.. Były to „fajne”, rozśpiewane lekcje. Gdy rozmawiam z tymi, którzy chodzili wtedy do szkoły, mówią, że atmosfera była w niej wyjątkowa, nauczyciele kulturalni, mądrzy, życzliwi – czuli się z uczniami dobrze, lubili swoją pracę...

Wybuchła druga wojna światowa. Nie zaczęliśmy nauki w innych szkołach. Po kapitulacji, pod okupacją niemiecką życie uległo zmianie, ale nadal spotykaliśmy się z niektórymi kolegami, czy nauczycielami. Bywaliśmy u księdza Franciszka Bujalskiego – martwił się o nas i prosił, byśmy uważali. Sam przeżył

rewolucję i więzienie w Rosji Bolszewickiej – do Polski wrócił na początku lat dwudziestych dzięki wymianie obywateli polskich i rosyjskich. My z Renią chodziłyśmy na groby żołnierzy, którzy zginęli we wrześniu 1939 roku w bitwie pod Ożarowem i byli pochowani na terenie Tworek. Cmentarz ten jest uporządkowany, jest nowy pomnik. Wtedy, gdy my odwiedzałyśmy te groby, były tam skromne krzyże. Na dzień 11 Listopada i 3 Maja ubierałyśmy groby biało-czerwonymi wstążeczkami i zapalałyśmy świece. Opiekowała się nami pani Ada – nie znam jej nazwiska – wiem, że została aresztowana na ulicy przy malowaniu na murze znaku Polski Walczącej. Zginęła w Oświęcimiu.

Do dnia dzisiejszego podziwiam moich rodziców, którzy, wiedząc czym grozi moja skromna działalność, pozwalali na to.

Nastał rok 1944 – sierpień – wybuch powstania – obóz przejściowy w Pruszkowie – setki – tysiące rannych, chorych. Szpitale przyjmują warszawiaków – stają się szpitalami powstańczymi. Powstają nowe... Młode dziewczyny zgłaszają się do pracy na terenie obozu i w szpitalach – ja zaczynam pracę na drugim pawilonie w szpitalu w Tworkach. Przez parę dni wszystko – ubranie, nawet pościel w domu pachnie ropą. Powoli przyzwyczajam się do ran ropiejących, do tragedii tych ludzi, którzy stracili wszystko, często bliskich, którzy walczyli – pamiętam, z jaką dumą i radością opowiadał jeden z powstańców o zdobyciu „Pasty” (niestety, nie pamiętam jego imienia ani nazwiska). Trzeba było pomagać, trzeba było walczyć o ich zdrowie, o ich życie, trzeba było wysłuchać o ich nieszczęściach. Pamiętam małą 13-letnią Ewunię – miała amputowaną nogę, mówiła, że jej tata jest lekarzem – w czasie bombardowania, czy ataku zgubiła rodziców. Czekala zawsze na mnie – twierdziła, że tylko ja potrafię ułożyć ją tak, że nie odczuwa bólu nogi, którą straciła. Pewnego ranka zastałam jej łóżko puste – powiedziano mi, że została gdzieś przewieziona – nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie... Tyle lat minęło... jeśli żyje, ma ponad 80 lat... a ja bardzo często o niej myślę. Inna, mała 7-letnia dziewczynka – straciła prawą rękę – ślicznie rysowała, ale ona miała przy

sobie mamę... Tyle nieszczęść, a mimo tych tragedii był w szpitalu czas na radość. Jak często słyhać było śpiew – chorzy i zdrowi powstańcy śpiewali piosenki, a my wtórowaliśmy warszawiakom. (większość pomocniczego personelu, to byli warszawiacy). Śpiewali jednak nie tylko pieśni powstańcze – niektóre z nas, młodych siostr, były na salach witane piosenką. Pamiętam, siostra Zosia ps. Marta słyszała zawsze piosenkę „Marta jest grzechu warta” – sama miała bardzo ładny głos i śpiewała chorem „straciłam swe serce małeńkie, wśród Was ono musi tu być” ja musiałam wysłuchiwać piosenkę o Madelon.

Warunki w szpitalu były bardzo trudne. Mimo starań i przeprowadzanych dezynfekcji i dezynsekcji były wszy. Jedzenie było fatalne. Zupa marchwiowa, którą otrzymywali na obiad, nie nadawała się do jedzenia. Któregoś dnia, na prośbę chorych, zjadłam jedną łyżkę tej zupy. Nie napiszę, jakie były tego skutki. Czasami coś przynosiłam do jedzenia, ale co mogłam? Chodziłam do piekarni do Darkiego (ul. Klonowa, dzisiaj ul. Daszyńskiego) i brałam od niego chleb, robiłam też drobne zakupy u państwa Jarzębowski. Koledzy przychodzili po mnie i pomagali nosić. Czasami dostawałam od pana Stanisława Kopra, który pracował w Urzędzie Miejskim jakieś odżywcze kakao czy coś z darów UNNRA. Do szpitala przychodziły panie z PCK (córka dr Steffena –seniora) i przynosiły coś do jedzenia.

Najgorzej jednak było z lekami. Cóż mogli zrobić lekarze, gdy nie mieli czym leczyć. Jak miał przeprowadzać operacje w takich prymitywnych warunkach dr Łukasik, świetny chirurg? Często bywałam na operacjach, nawet dr Łukasik prosił, bym dawała narkozę (to był eter, lekarze i chorzy uważali, że powinnam iść na medycynę). Siostry zakonne, szarytki zajmowały się chorymi z wielkim poświęceniem. Zresztą wszyscy – lekarze, siostry w miarę możliwości starali się pomagać cierpiącym, chorem, ale ich możliwości były ograniczone.

Dyrektorem szpitala był Niemiec Honnette, jego zastępcą Ukrainiec ożeniony z Polką. Żaden z nich nie troszczył się o cho-

rych – obaj przywieźli wiele wszelakiego dobra z Warszawy dla siebie. Początkowo trzy siostry szarytki jeździły furką do Dulagu i wszelkimi sposobami wywoziły warszawiaków z obozu i przywoziły do szpitala. Te dzielne kobiety oszukiwały Niemców (np. bandażowały zdrowych młodych mężczyzn i wywoziły ich z obozu). W pewnym momencie pan Honnette zabrał siostrom przepustki. Gdy Niemcy opuszczali Pruszków, uciekł okradając szpital. Nie wiem, co uczynił jego zastępca – przypuszczam, że też uciekł...

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Ksiądz Bujalski przyszedł na oddział i zaprosił na pasterkę. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, czy pasterkę odprawił w kaplicy Przemienienia Pańskiego, czy na II pawilonie – pamiętam tylko, że uczestniczyło w niej bardzo dużo osób. Ksiądz zaintonował: „Bracia, patrzcie jeno, – odpowiedział mu „potężny” chór: „jak niebo goreje”...

Gdy przymknę oczy, słyszę ten śpiew... Dlaczego tą kolędą zaczął pasterkę? Znając księdza Bujalskiego, jego patriotyzm, chciał podnieść na duchu tych wszystkich, którzy czekali na klęskę Niemiec.

Pewnego dnia na nasz pawilon przyszli Niemcy i zabrali kilku mężczyzn. Po pewnym czasie przyszedł ksiądz Franciszek Bujalski. Biegł po korytarzach i wołał mnie – bał się, czy przypadkiem nie znalazłam się wśród aresztowanych.

Teraz po wielu latach dowiedziałam się, że, aresztowani wówczas, przewiezieni byli do obozu w Niemczech w Bandposter. Tam opowiadali, że byli w szpitalu w Tworkach. Opowiedzieli, że w tym szpitalu powstała kolęda. Twierdzili, że jej autorką jest młoda lekarka. Zupełnie nie przypominam sobie, by ktoś ułożył tę kolędę na II pawilonie. Mieliśmy trochę wierszy, napisanych przez chorych – wszystkie je znałam...tej kolędy nigdy nie słyszałam – może powstała na innym pawilonie. Przytaczam ją w całości, bo jest wzruszająca...

KOLEDA POWSTAŃCZA

Żołnierz drogą maszerował
Poprzez góry, lasy, polem
Pastuszkowie go spotkali,
Do Betlejem wiedli społem.

A choć był zmęczony bardzo
Ale śpieszył się on wielce,
Bo w plecaku niósł Dzieciątka
Z Warszawy żołnierskie serce.

Tę kolędę, tę jedyną
Śpiewam dla ciebie, Dziecino,
Daj bym przetrwał wszystkie boje
I znów ujrzał miasto moje...

Za wolnością zatęskniony
Idę walczyć w obce strony,
Ale daj bym przetrwał boje
I znów ujrzał miasto moje

Żołnierz niósł z Warszawy serce –
Serce młode i gorące –
Co walczyło w zapomnieniu
Przez słoneczne dwa miesiące.

Gdy w stajence się zebrali
Pany, króle, pastuszkowie,
Piękne dary poskładali
Aby Jezus wybrał sobie...

Tę kolędę, tę jedyną...

A w stajence ze wszystkimi,
Młody, ale pełen sławy
W mundurze zniszczonym bardzo
Stał polski żołnierz z Warszawy...

Dzieciąteczko go poznało,
Uśmiechnęło się do niego
I spośród darów wybrało
Serce żołnierza polskiego!

Tę kolędę, tę jedyną...

Wojna się skończyła. Szpital opustoszał. Pracowałam do końca lutego. Ciężko było rozstawać się z chorymi, z personelem, ale czas podjąć przerwana naukę. 1 marca została otwarta moja szkoła – do niej przecież zdałam w 1939 roku – gimnazjum i liceum im. Tomasza Zana.

Na podstawie zaświadczenia profesorki, która uczyła nas biologii w tajnej szkole w Warszawie, że ukończyłyśmy I klasę liceum, zostałyśmy z Renią przyjęte do II klasy liceum o profilu humanistycznym. W klasie było nas 9 dziewcząt – wśród nich Krysia Tadzikówna z Warszawy, która pracowała, tak jak ja, w szpitalu w Tworkach. Kilka dni później dołączył do nas młody powstaniec Adam Bromke. Po maturze wraz z mamą dostał się do Anglii przez „zieloną granicę”, tam spotkali się z jego ojcem. Adam skończył studia, poświęcił się pracy naukowej, wykładał na uniwersytetach Kanady i Stanów Zjednoczonych. Brał on udział w tak zwanej „akcji balonowej”. Wrócił do Polski – niestety, zmarł 3 lata temu. Jak się okazało, byliśmy wszyscy uzdolnieni w różnych kierunkach. Prawie wszyscy skończyliśmy studia i mieliśmy niemałe sukcesy. Nie żyją trzy koleżanki, z niektórymi nie mamy kontaktu.

Doczekaliśmy tak zwanego wyzwolenia. Jak było do przewidzenia nie skończyły się represje, niestety, ginęliśmy z rąk „przyjaciół”, lub „braci – Polaków”. Ksiądz Franciszek Bujalski musiał wypro-

wadzić się z mieszkania, które zajmował na terenie szpitala, siostry szarytki nie mogły opiekować się chorymi. Ksiądz marzył o budowie kościoła, bo mała kapliczka nie mieściła wiernych. Chcąc uczcić swego patrona pragnął, by kościół był pod wezwaniem świętego Franciszka z Asyżu, parafia miała mieć patrona świętego Edwarda (patron dziekana księdza Tyszki; może odwrotnie – nie pamiętam). Nie dostał pozwolenia na budowę kościoła, mimo że miał plac i sporo materiałów budowlanych (materiały te zostały zabrane przez władze PRL i przeznaczone na budowę Domu Pedagoga – obecnie MOK). Zawsze w mojej pamięci zostanie jego postać – wysoki blondyn – melonik, laseczka i biały szalik...

Nadszedł rok 1980 – „Solidarność” – stan wojenny – msze za Ojczyznę, tajna prasa – książki wydawane w drugim obiegu. Trzeba było zająć się kolportażem. Biegałam do Tworek, do księdza Romana Indrzejczyka (następcy ks. Bujalskiego) z gazetkami, sprzedawałam książki.

Wreszcie wygraliśmy. Znalazłam się w radzie miejskiej, wybranej w wolnych wyborach. Przez dwie kadencje pełniłam różne funkcje, między innymi byłam wice-przewodniczącą rady. Zajmowałam się organizacją patriotycznych uroczystości. Raz zorganizowałam Święto Niepodległości w małej kaplicy Przemienienia Pańskiego. Niektórzy dziwili się, ale prezydent Euzebiusz Kiełkiewicz uznał moje racje. Na szczęście pogoda sprzyjała – po Mszy świętej, którą odprawił ksiądz dziekan Józef Podstawka i ojciec Andrzej Lange, opowiedziałam historię szpitala, udowadniając, że jest to jedno z miejsc, w którym pragniemy oddać hołd tym, którzy tu pracowali, walczyli, cierpieli, umierali. Przeszliśmy na cmentarz żołnierzy z 1939 roku i tu zakończyliśmy uroczystość. Uczestnicy byli mi wdzięczni – wielu nie wiedziało o istnieniu tych grobów...

Wielu też na pewno nie wie, że na terenie szpitala jest jeszcze jeden cmentarz – tych, którzy walczyli, a potem umierali w szpitalu po Powstaniu Warszawskim. Tu też, dzięki pani doktor Marii Pałubowej znajduje się pomnik ku czci Polaków, Żydów i Niemców chorych psychicznie, których zamordowali Niemcy.

77 lat minęło od śmierci Marszałka

Czy Polacy nie pamiętają lekko pochylonej postaci w szarym mundurze i w maciejówce? Moje pokolenie pamięta... nazywaliśmy Go „Dziadkiem” – słuchaliśmy o nim opowieści od tych, którzy Go znali, którzy przy Jego boku walczyli.

Pamiętam piękną, ciepłą wiosnę, drzewa owocowe obsypane kwiatami 7 maja 1936 rok. Słońce – nagle spadł śnieg. Duże płatki śniegu przykryły drzewa, zieloną trawę – śnieg nie utrzymał się długo – majowe słońce szybko roztopiło ten biały dywan...

Polacy byli przerażeni... Polskę spotka wielkie nieszczęście... mówili.

Za parę dni, 12 maja, zakończył życie ten, który walczył o to, by Polska żyła...

Pożegnaliśmy marszałka... Pociągiem, na lawecie ciało zostało przewiezione do Krakowa. Przy trumnie ukochanego Wodza całą drogę stał gen. Bolesław Wieniawa – Długoszewski.

(...) Zgodnie z testamentalną wolą Marszałka Józefa Piłsudskiego, w pierwszą rocznicę jego śmierci, 12 maja 1936 roku na cmentarzu wojskowym na Rossie spoczęły sprowadzone z Sugint prochy jego matki, Marii z Bilewiczów oraz urna z Jego sercem. Na nagrobku znalazły się słowa Juliusza Słowackiego, ulubionego poety Marszałka, zaczerpnięte z poematu „Wacław” oraz krótki, ale jakże wymowny napis: „Matka i Serce Syna” Mauzoleum usytuowane wśród kilkudziesięciu grobów żołnierskich z wojny stało się ważnym miejscem kultu okazywanemu przez rodaków Marszałkowi, podobnie jak krypta pod wieżą Srebrnych Dzwonów w wawelskiej katedrze, gdzie spoczęły doczesne szczątki Naczelnika Państwa. Nieodłącznym elementem mauzoleum na Rossie była żołnierska war-

ta honorowa. Tak było i w tragicznych dniach wrześniowych 1939 roku.

Gdy Armia Czerwona wkraczała do Wilna 18 września 1939 r., na warcie przy grobie „Matki i Serca Syna” stali: kapral Wincenty Salwiński i szeregowi Piotr Stacirowicz i Wacław Sawicki. Jak mówią relacje świadków, mimo nalegań sowieckich tankistów, nie zeszli z posterunku, uważając, że nikt nie zwolnił ich z przysięgi i obowiązku strzeżenia tak ważnego miejsca. Taka postawa oznaczała jedno: wyrok śmierci. Zginęli na posterunku, a ich groby znajdują się obok mauzoleum Marszałka (...)

Zamieszczony powyżej (cytowany kursywą) tekst otrzymałam od pana Tadeusz Jarosa. Był wydrukowany w „Naszej Polsce” nr 40 z dnia 4.X.2011. Autorem artykułu „Ostatnia Warta” jest Jan Józef Kasprzyk.

Umieściłam go w „Przeglądzie”, ponieważ jest dowodem pięknej, odpowiedzialnej postawy młodych Polaków i ich miłości nie tylko do Naczelnika, ale i Ojczyzny.

Wizyta młodzieży izraelskiej w „Zanie”

W lipcu ubiegłego roku Liceum Ogólnokształcące im. Tomasza Zana przystąpiło do międzynarodowego projektu edukacyjnego „Zachować Pamięć”. Projekt ten koordynowany jest ze strony polskiej przez Ośrodek Rozwoju Edukacji MEN, a jego celem jest ustanowienie współpracy między szkołami polskimi i izraelskimi.

Młodzież izraelska, w trakcie nauki w szkole średniej ma możliwość odbycia odpłatnej podróży studyjnej do Polski. Odgórnie ustalony program takich podróży kładzie nacisk głównie na odwiedziny miejsc pamięci, martyrologii i zagłady narodu żydowskiego. Nic więc dziwnego, że większość młodych Izraelczyków opuszcza Polskę w posępnych nastrojach, a później wspomina ją jako kraj cmentarzy i miejsc zagłady. Na szczęście jednak, niektórzy izraelscy nauczyciele są gotowi poświęcić czas wolny, jakim dysponują podczas takich podróży, na spotkania swoich wychowanków z ich polskim rówieśnikami, wspólne gry, zabawy i zajęcia edukacyjne.

W ramach wspomnianego projektu, w śnieżne, ale słoneczne popołudnie 16 marca 2013 r. gościliśmy w „Zanie” 74-osobową grupę młodzieży izraelskiej z Liceum im. Ahada Ha’ama z Petach Tikwy. Wraz z uczniami przybyło kilkoro nauczycieli i opiekunów na czele z dyrektorem szkoły – panem Eilonem Navehem.

Przed głównym wejściem do budynku, udekorowanym flagami obu państw oraz napisami powitalnymi w obu językach, przywitała przybyłych dyrektor pruszkowskiego liceum – Pani Małgorzata Kucharska, jak również przedstawiciele grona pedagogicznego i delegacja uczniów. Niestety, tegoroczna marcowa pogoda nie sprzyjała spotkaniom pod gołym niebem, toteż zabawy integracyjne odbyły się w klasach i na korytarzach szkolnych, w pięciu mieszanych, polsko-izraelskich grupach.

Zajęcia prowadzone były w języku angielskim przez nauczycieli tego przedmiotu. Na początku młodzież usiadła wkoło, po czym każdy przedstawił się i opowiedział krótko o sobie. Kolejne zabawy wymagały już większej interakcji – wykorzystaliśmy sprawdzone scenariusze „gwiazdy tożsamości” czy „nici porozumienia”. Gospodarze i goście szybko znaleźli wspólny język i przekonali się, że w odległych od siebie krajach żyją podobni do siebie młodzi ludzie, mający takie same zainteresowania, słuchający takiej samej muzyki, oglądający takie same filmy, lubiący lub nie lubiący tych samych przedmiotów w szkole, mający takie same marzenia i plany na przyszłość.

Druga część spotkania miała charakter edukacyjny, a jej zasadniczym elementem była czteroczęściowa prezentacja multimedialna, przygotowana przez uczniów. Goście zapoznali się kolejno z historią i dniem współczesnym Pruszkowa, dziejami naszego liceum, dziejami pruszkowskiej gminy żydowskiej oraz postacią Janusza Korczaka, który w latach 1919-1928 pracował w Pruszkowie jako lekarz w domu sierot „Nasz Dom”, prowadzonym przez Marię Rogowską-Falską. Każdą część prezentacji podsumowano krótką dyskusją i odpowiedziami na pytania, jakie nasunęły się gościom.

Po zajęciach w szkole uczestnicy spotkania pojechali do hali sportowej Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego, zatrzymując

się na chwilę pod siedzibą „Naszego Domu”. Po przybyciu do hali młodzież obejrzała krótki film dokumentalny „Tutejsi”, zrealizowany w ubiegłym roku przez Alicję Plachównę-Vasilevską, a opowiadający o dziejach pruszkowskiej społeczności żydowskiej, w oparciu o zarejestrowane wspomnienia mieszkańców naszego miasta.

Po filmie głos zabrali dyrektorzy obu szkół. Wyrazili swoje zadowolenie z udanego pierwszego spotkania i nadzieję, że nie będzie ono ostatnim. Następnie szkoły wymieniły się symbolicznymi podarunkami. Szkole izraelskiej przekazaliśmy m.in. album fotograficzny ze zdjęciami współczesnej Warszawy, otrzymaliśmy piękną, ręcznie wykonaną płaskorzeźbę z widokiem Jerozolimy.

Oba licea przygotowały program artystyczny; polscy uczniowie deklamowali trzy wiersze poety krakowskiego getta – Mordechaja Gebirtiga, którego twórczość na język polski przekładał absolwent naszego liceum, zmarły niedawno poeta, Zbigniew Jerzyna. Równolegle, na ekranie wyświetlało się tłumaczenie tekstu na język angielski. Grupa uczniów izraelskich przygotowała krótką lekcję wspólnego śpiewu i tańców. Kierując się ich wskazówkami, młodzież z obu krajów wkrótce zajęła cały parkiet hali i ruszyła w żywiołowy taniec, w rytm izraelskiej muzyki ludowej.

Ostatnim punktem programu była niespodzianka – ogromny tort, który kroili i serwowali dyrektorzy obu liceów.

Sobotnie popołudnie minęło bardzo szybko – ani się obejrzelśmy, a nasi goście musieli już wracać do Warszawy. Po wykonaniu zbiorowej, pamiątkowej fotografii wszystkich uczestników spotkania, polscy uczniowie odprowadzili swoich izraelskich kolegów do czekających pod halą autokarów.

Szkoda, że nasi goście mogli przeznaczyć na pobyt w Pruszkowie zaledwie cztery godziny. Nie pokazaliśmy im ani pruszkowskiego cmentarza żydowskiego, ani żadnego z muzeów, ustaliliśmy wspólnie, że tak krótki czas należy dać do dyspozycji przede wszystkim samej młodzieży, aby mogła porozmawiać ze sobą i bliżej się poznać. Mamy jednak nadzieję, że zapoczątkowaliśmy w ten sposób stałą współpracę między naszymi liceami i następnym razem goście z Izraela zatrzymają się w naszym mieście na dłużej.

W przygotowaniach i realizacji scenariusza spotkania brali udział następujący nauczyciele: Małgorzata Frączkowska, Bartłomiej Godzisz, Ewa Król, Szymon Kucharski, Anna Nowakowska, Gerard Połožynski, Bożena Rostkowska, Monika Starczewska, Izabela Szewczyk, Katarzyna Szymańska, Karol Wałowski i Jolanta Zgoda, a także, zaproszone, spoza naszej szkoły: Marta Adamska i Katarzyna Nosecka. W spotkaniu uczestniczyli uczniowie klas 1A, 1B, 1C, 2A i 2B. W przygotowaniu prezentacji multimedialnej uczestniczyły uczennice klasy 2A – Aleksandra Grzejszczak i Ewa Guzik. Za okazaną pomoc dziękujemy dyrektorowi Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego, p. Tomaszowi Krawczyńskiemu.

Galeria zdjęć ze spotkania dostępna jest na stronie internetowej szkoły (zan.edupage.org), w zakładce „Album fotograficzny”. Druga część spotkania została nagrana przez pruszkowską telewizję kablową, która przygotowała reportaż, wyemitowany w „Panoramie Pruszkowskiej” – dostępny również w Internecie.

phm. Monika Pawełczyńska-Ślusarczyk
Komendant Szczepu Harcerskich Drużyn Sokolich
Hufiec ZHP Pruszków

Harcerskie relacje z 2013

Przygotowaliśmy krótką relację z najważniejszych harcerskich działań Szczepu z 2013 roku. Może przywołają one nutkę Waszych wspomnień z młodości? Przeczytajcie je swoim dzieciom, lub wnukom – może wstąpią w nasze harcerskie szeregi?

Pierwszym ważnym wydarzeniem, o którym chcemy krótko wspomnieć – było **Zimowisko Szczepu w Zakopanem pt. „Góralu czy ci nie żal”**. Odkonano je w terminie 27.01-04.02.2013 w urokliwej części Zakopanego „Harenda”. Ten czas spędzaliśmy razem ze Szczepem Nadarzyńskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych „Wataha”. Na zimowisku przenieśliśmy się do codziennego życia podhalańskich górali. Zdobywaliśmy sprawności oraz poznawaliśmy kulturę polskich górali, ich dzieje, najbardziej znane pieśni, tańce, wiersze. Uczyliśmy się poszanowania dla różnorodności kultur (to co różnorodne jest piękne) i dla patriotyzmu lokalnego, który jest ważny w życiu każdego zucha i harcerza. Spotkaliśmy się z góralami i uczyliśmy się ich gwary. Poznaliśmy historię znanych osób związanych z górami, m.in. Jana Pawła II, Witkiewicza i wielu innych. Podziwialiśmy również przyrodę tak bliską góralom poprzez piesze wycieczki po najpiękniejszych miejscach, spacerów po pobliskiej okolicy, czy zabawę na stoku narciarskim.

Druh Artur Pawełczyński został przyjęty w poczet instruktorów ZHP i złożył przy grobie Andrzeja i Olgi Małkowskich Zobowiązanie Instruktorskie.

Tak to właśnie my! Byliśmy tej zimy największym zimowiskiem harcerskim w Chorągwi Stołecznej! Następne zimowisko spędzimy najprawdopodobniej w miejscowości w Gliczarowie Górnym!

Kolejne wydarzenie warte wspomnienia – ważne także dla wszystkich skautów na świecie to **Dzień myśli braterskiej** dnia 22 lutego 2013. Hasło tegorocznego święta brzmiało „Nieś pomoc bliźnim – zostań bratem genetycznym”. W lutym propagowaliśmy więc wiedzę o transplantologii. W ramach Dnia Myśli Braterskiej wspieraliśmy również organizację „Dnia Szpiku” w Pruszkowie, podczas którego mieszkańcy Pruszkowa i okolic mogli zapisywać się jako potencjalni dawcy. Harcerzom przybliżono wiedzę na ten temat – jest to bardzo ważne, bowiem wielu ludziom oddanie szpiku kojarzy się z wielkim ryzykiem i bólem fizycznym. Jest to jednak mit. Harcerze zaprzyjaźnili się więc z tematem transplantologii. Akcja była zorganizowana przez Fundację DKMS Polska (Bazę Dawców Komórek Macierzystych).

Tego dnia spotkaliśmy się na skwerze harcerskim i uczestniczyliśmy w apelu Hufca ZHP Pruszków, na którym rozdano coroczne nagrody dla wyróżniających się członków Hufca. Ten ważny dla skautów dzień świętowaliśmy we własnym gronie. Część programu przygotował dla nas druh Piotr Tomaszewski w ramach próby przewodnikowskiej. Uczestniczyliśmy w obrzędowej wieczornicy literacko-muzycznej, która była doskonale przygotowana. Wspólnie słuchaliśmy nastrojowych melodii gitarowych, recytacji harcerskich wierszy. Tworzyliśmy nawet własne wiersze o twórcach ruchu skautowego i harcerskiego. Dzień zakończyliśmy wręczeniem naramiennika wędrowniczego druennie Patrycji Pawlik – święto nasze zakończyliśmy wieczorem filmowym.

Nasze środowisko w tym roku wzięło także udział w uroczystościach z okazji rocznicy śmierci Jana Pawła II w kościele św. Kazimierza oraz w bardzo dużej imprezie – w Rajdzie Szlakiem Naszej Historii. Był to XXVIII rajd organizowany przez środowisko kombatanckie. Od kilku lat pomagaliśmy kombatanom – obecnie komandorem rajdu jest komendant Hufca ZHP – Prusz-

ków hm Beata Pawełczyńska. Członkowie naszego szczepu brali udział w patrolach pieszych i dyżurowali przy miejscach pamięci i w sztabie imprezy.

Ostatnim wydarzeniem, który będziemy wspominać bardzo długo był biwak na Węgrzech (Budapeszt), który odbył się w dniach 30.04-05.05.2013. Wyjazd odbył się w ramach projektu naszego środowiska pt. „Ślady polskości w krajach euroamerykańskich”. Wielką przyjemność sprawiło nam stwierdzenie, że my, Polacy, jesteśmy przez Węgrów bardzo lubiani – świadczyło o tym zachowanie służb mundurowych, chętnych zawsze do pomocy, jak i życzliwość osób cywilnych.

Przyrzeczenie Harcerskie w Budapeszcie złożyli: dh Gabriela Nicińska, dh Wiktoria Warzocha, dh Michał Przygoda, dh Julia Szumer.

W ramach poznania kultury węgierskiej odwiedziliśmy Wzgórze Zamkowe, na którym mieliśmy możliwość zrobienia zdjęcia z prawdziwym ogromnym orłem bielikiem! Zobaczyliśmy również Plac Bohaterów, górę św. Gellerta (a na niej Cytadelę, pomnik św. Gellerta). Bardzo ważnym miejscem, które tam mieliśmy szczęście zobaczyć był także kościół wykuty w skale z polskim ołtarzem z Matką Boską Częstochowską, polskim orłem, ze wspomnieniem o przyjaźni polsko-węgierskiej. Kiedy poczuliśmy się, jak w Polsce? Węgry stały się dla nas Polską wtedy, kiedy zobaczyliśmy na budynku kościoła napisy powitalne, z czego polski i węgierski był największy. Jeden z nich, najbardziej znajomy brzmiał „Szczęść Boże!”. Nie zabrakło również czasu na typowy wypoczynek i leniuchowanie w kompleksie basenów. Zwiedzanie wszystkich atrakcji rozpoczęliśmy od Muzeum Kolejnictwa już w dniu przyjazdu. Najpiękniejsze widoki mogliśmy podziwiać podczas rejsu Dunajem – zachwycił nas piękny Parlament. Odwiedzając Budapeszt nie można zapomnieć o pomniku gen. Bema, który poprowadził do walki Węgrów w czasie „Wiosny Ludów” w 1848 roku. Nie zapomnimy również spotkania z węgierskimi skautami, którzy nauczyli nas świetnej zabawy integracyjnej!

Słowo od prezesa PTK-N

Rok temu pisałam, że za zasługi, przychylność dla kombatan-
tów Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej przyznał pre-
zydentowi Pruszkowa panu Janowi Starzyńskiemu „Medal pro
Memoria”. Nie tylko on zasłużył na to odznaczenie. Pruszków ma
wyjątkowe szczęście – zarówno przedstawiciele władzy w mieście,
jak i powiatowe są przychylne działalności organizacji pozarządo-
wych.

Mimo starań ze strony kombatan-
tów (tu należy podkreślić
zasługi kolegów Andrzeja Kurca i Zdzisława Zaborskiego) bez
pomocy i zaangażowania starosty powiatu pruszkowskiego pani
Elżbiety Smolińskiej i pomocy prezydenta pana Jana Starzyńskie-
go nie mielibyśmy Muzeum upamiętniającego gehennę warsza-
wianów.

W dwa miesiące po
nadaniu medalu panu
prezydentowi, na wniosek
SZŻAK koła nr 6 w Prusz-
kowie Urząd do Spraw
Kombatantów i Osób Re-
presjonowanych przyznał
„Medal pro Memoria”
pani Elżbiecie Smolińskiej.
Wręczony on został pani
Staroście przez ministra
pana Jana Ciechanow-
skiego w dniu 27 listopada
2012 roku.





„Medal pro Memoria” był przyznawany za zasługi w utrwalaniu pamięci o ludziach i czynach w walce o niepodległość Polski podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu.

Wszyscy kombatanci, którzy jeszcze żyją i mają siły biorą udział w uroczystościach organizowanych przez Dulag 121 – pani dyrektor pragnie, by muzeum żyło...

Nasze władze są przychylne nie tylko kombatantom, ale popierają działalność innych organizacji. Dzięki pomocy finansowej miasta i przychylności starostwa, Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno-Naukowe może realizować zadania statutowe.

Członkowie towarzystwa i goście mają możliwość spędzenia czasu w miłym towarzystwie, wysłuchać wykładu, dobrej muzyki czy poezji.

Spotkania odbywają się najczęściej w starostwie, czasami w pałacyku Sokoła lub w Miejskim Ośrodku Kultury. Mimo, że mamy lokal w MOK-u, jest on za mały, byśmy w nim mogli spotykać się.

Ostatnio gościliśmy dr medycyny, podróżnika, regionalistę, który opowiadał o swej podróży po Alasce – pokazał równocześnie film z tej „zaczarowanej krainy”, gdzie najważniejszymi mieszkańcami są zwierzęta – niedźwiedzie, sarny, łosie...

Jak zwykle, nasz gość przywiózł książki, które słuchacze chętnie kupują. Cieszy mnie, że w Pruszkowie nasi wykładowcy przywożą książki, które rozprowadzają – niedawno mieliśmy możliwość

kupić piękne wydanie prof. Drozdowskiego o Ignacym Paderewskim, pracę przedwojennego profesora Artura Śliwińskiego o Powstaniu Styczniowym, czy „Wspomnienia ułana” z 1863 roku.

Dużym przeżyciem były ostatnie dwa spotkania z poezją – w maju uczciliśmy 93 rocznicę urodzin Ojca świętego Jana Pawła II – wiersze i wyjątki z homilii usłyszeliśmy w wykonaniu pana





Stanisława Sparażyńskiego – utwory Bacha zagrała młoda skrzypaczka pani Maria Bujnowska, pieśni, między innymi ulubioną Jana Pawła II – „Barkę” zaśpiewał zespół „Wrzos” pod kierunkiem pana Michała Śmiałowskiego.

Drugi, wzruszający wieczór poezji przygotowała pani doktor Stanisława Ossowska. Znamy ją dobrze z działalności naukowej – wykladała na uniwersytetach w Łodzi i Toruniu, prowadziła szkołę biznesu w Nadarzynie, oczarowała nas swoją poezją, jej interpretacją.

W czerwcu odbędą się jeszcze dwa spotkania: jedno z panią dr Teresą Halikową – temat na pewno interesujący – „Budda – Koadai – Chrystus – religijność azjatycka na przykładzie Chin i Wietnamu”, drugie – spotkanie z panem Michałem Rybakiem, pracownikiem Muzeum Niepodległości – zupełnie inna tematyka – Pan Rybak powie o rezydencjach króla Jana Sobieskiego.

Pomnik przy ulicy Helenowskiej

Parę dni temu dowiedziałam się, że niektórzy mieszkańcy Pruszkowa chcieliby zniszczyć pomnik przy ul. Helenowskiej, a płyty przeznaczyć na wybrukowanie (sic!) ulicy. Rozumiem...

Zastanawiam się tylko, czy ci, którzy zaproponowali zniszczenie pomnika wiedzą, dla uczczenia jakiego wydarzenia został on zbudowany?

Dwunastego września 1939 roku wojsko polskie stoczyło z najeźdźcą niemieckim krwawy bój między Pruszkowem a Brwinowem. Wśród poległych w tej bitwie był mieszkaniec Pruszkowa Tadeusz Jerzy Jędrzejewski – ranny był kpr. podchorąży Jerzy Szymczak (żołnierz AK – zmarł parę lat temu). Poległ tu Antoni Cejzik, wieloboista, olimpijczyk (reprezentował Polskę na olimpiadzie w Paryżu), jest patronem Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Pruszkowie.

Niemcy, zajmwszy teren w rejonie Pruszkowa, przygotowali stanowiska obrony na południowo-zachodnim skraju zabudowań Parzniewa, Helenowa i Kań. W tym czasie 28 Dywizja Piechoty, która składała się z resztek 15 pułku piechoty, 36 pułku Legii Akademickiej i 72 pułku piechoty zbliżyła się do Brwinowa. 36 pułk piechoty Legii Akademickiej pod dowództwem ppłk Karola Ziemskiego zdobywa Brwinów – niestety, wobec przeważającej siły wroga muszą wycofać się z miasta.

W 25 rocznicę września żołnierze 36 pułku piechoty LA chcąc uczcić pamięć swych poległych kolegów (poległo ich 130) powołałi Komitet. Korzystając z tego, że jednym z uczestników walk pod

Brwinowem był Adam Rapacki (ówczesny minister Spraw Zagranicznych), uzyskali pozwolenie na budowę pomnika w Helenowie z napisem „Bohaterskim żołnierzom 36 pułku piechoty Legii Akademickiej – poległym za Ojczyznę”. Gdy zbliżał się dzień odsłonięcia pomnika, generał o nieustalonym nazwisku, jadąc do Helenowa nakazał przerwać pracę i zasłonić pomnik. Inny dygnitarz nakazał zmienić napis. Miał on brzmieć: Wyzwoleńcom i Obrońcom Ojczyzny – Chwała” Nakazał też co drugą głowę żołnierską przyodziać w hełm Armii Czerwonej.

Projektantem pomnika w pierwszej wersji był A. Jarocho.

Sądzę, że nie powinniśmy pozbywać się tego pomnika. Możemy tylko doprowadzić do zmian. 36 pułk Legii Akademickiej ma piękne tradycje walk o niepodległość w latach 1918 – 1920.

Artur Oppman

Tvoja Ojczyzna

Ojczyzna twa, dziecię,
To cały ten kraj,
Te lasy i pola,
Ten ogród i gaj
I strumień, co srebrnie
Pod słońca blask drga;
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna jest twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To każdy nasz gród
Gdzie siedzi od wieków
Hartowny w łzach lud
Gdzie echo przeszłości
Jak złota pieśń gra;
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna jest twa!

Ojczyzna twa, dziecię
To rzędy tych chat,
Gdzie mieszka kmieć szczery,
Rodzony twój brat;

I kwiatów tysiące
I ptasząt tych ćma;
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna jest twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To wstęgi tych rzek,
Co kraj ten zraszają
Od wieków po wiek
I góry podniebne,
Co wieńczy je mgła;
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna jest twa!

Ojczyzna twa, dziecię,
To mogił tych świat,
Gdzie leżą umarli;
Pradziady i dziad,
Gdzie w ziemię krew wsiąkła,
Ich pot i ich łza;
To wszystko, to wszystko
Ojczyzna jest twa!

Do moich synów

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, da nam to Bóg,
że spadną wreszcie kajdany z nóg,
i nim wy męskich dojdziecie sił,
jawą się stanie, co dziadek śnił,
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
nie dał zejść zorzy z krwi naszych ran,
to jeszcze w waszej piersi jest krew
na nowy świętej Wolności siew,
i wy pójdziecie, pomni spuścizny,
na bój dla naszej Ojczyzny!

Dwóch rannych
(fragment)

Ojczyzno! Nie płacz swych dzieci, co giną!
Niechaj krew płynie i łzy niechaj płyną,
Niechaj się ziemi wstrząsają krawędzie,
Jest Bóg nad nami, więc i Polska będzie!
Gromy po gromach biją w świat spróchniały,
Co złe, jak wąż się rozpadnie w kawały,
A każda kropla krwi polskiej wylana,
Niedługo w jad się zmieni dla tyrana!

Antoni Bogusławski

11 listopada w Warszawie

Tak mało pomnę... Ów dzień był, jak chwila,
błysk purpurowy, grom wśród listopada!
Z minutą każdą los nasz się przesila,
a nowa klęska – na kark wrogom spada.

Nad miarę myśli w świadomości ludzkiej...
...Strącony Wilhelm... Klęska Hindenburga...
...Foch... Wilson... Wersal... komendant Piłsudski
powrócił wczoraj wolny z Magdeburga...
Śmigają wieści wokół, na kształt racy...
Tu śpiew... Tam pochód... Tu wiec... Tam strzelają...
Kto? – To koledzy moi, Krechowiacy,
już kirasjerów pruskich rozbrajają.

Przeleciał szwadron... Mignęli ułani,
podobni jasnym na wolności ptakom,
A na ratuszu niemieccy szucmani
dostępu jeszcze bronią peowiakom.

Halt, Niemcze! Stójże! Oddaj pas z bronią!...
Oddaje... Oczu błysk pod brwią nawisłą..
- Czy Beselera z Zamku dziś wygonią?
- Już w nocy uciekł do Torunia Wisłą?

Co będzie? – Lublin... Gazety z Krakowa...
Lwów jeszcze w ogniu? – To niepodobieństwo...
Gdzie jutro będziem, co jutro nam chowa? –
Mniejsza! Dziś odwet, triumf i zwycięstwo!

Kazimiera Iłakowiczówna

Sen o marszałku

Świat sunący wbił się na skałę
i dalej w wieczność nie płynie.
Codziennie o tej samej godzinie
umiera w mem sercu Marszałek.

Nie cierpi, nie walczy, nic nie żegna,
siwe oczy na świat otwiera.
Ja tylko, ja tylko jedna
nie wiem, że umiera.

Wszyscy przeczuwali od dawna,
Przewidzieli, przygotowali swą dzielność.
...O Boże mój! ...Ja nie zgadłam.
Wierzyłam, że jest nieśmiertelny.

Teraz, co dzień o tej samej chwili,
spadają z oczu mych łuski...
... oto głowę ze znużenia chyli
zamyślony, jak posąg etruski;

oto z rąk wypadają insygnia,
buława grzmi o posadzkę
i na czole rzeźbionym stygnie
myśl zaskoczona z nienacka.

Nie wiem, jaki przepływ ze skały
zedrze świat i czy świat dalej popłynie...
... co dzień o tej samej godzinie
umiera w mym sercu Marszałek.

Do Towarzyszy Broni

Kiedyś... gdy w dom mój przyjdziecie ludny, wesoły –
za wzór was postawię obywateli,
w najlepsze wina przystroję stoły
i w izbie święto uczynię niedzieli –

sproszę sąsiadów z sąsiednich wsi i chat,
ziela pachnące w dniu tym poświęcę w kościele –
zapowiem w rodzinie radość – i w domu ład –
umiotę izby, jak na wesele...

Ogród przed domem w nowe kwiaty ustroję –
poznoszę co najpiękniejsze ziela –
i wśród święta tego przypomnę wam boje
i życie żołnierza–obywatela!...

Tak w starej, żołnierskiej naszej wierze,
powstaną widma – hetmany kochane
pieśni dawne o Brygadierze,
Twórcy Legionów – nie wyśpiewane...
I duma bitew... pochodów... pożogi
pieśń przeradosna zmartwychwstania i tęsknoty,
Józefa Piłsudskiego nowe drogi
słońca rycerskie – bohaterów cnoty –

wszystko to razem w Polski błękanie,
wieńcem wspomnień serca nam opasze
na jakieś inne, nowe życie,
pod to samo hasło nasze:

Ojczyzna!... Komendant niech żyje!...
Niechaj śnią się bitwy z promienną wiosną...
– Czy to Moskali pułk piąty bije?!
Nie – to żołnierz sprawia ucztę radosną;

bo w dom jego ludny zeszli się towarzysze pancerni –
więc zdrowie wodzów i wspomnień uczują ochoczo...
Imiona ich Polska unieśmiertelni;
Duchy ich przez Karpaty, Wisłę, Bug i Styr kroczą!

Przeto gdy w dom mój przyjdziecie ludny, wesoły –
za wzór was postawię obywateli,
w najlepsze wina przystroję stoły
i w izbie święto uczynię niedzieli!...



Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Fragment z „Wiersza dla mego syna”

I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem:
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem,
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostoelskiej;
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej...